NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 12 maja 1906 r. Nr. 19.

Wielka manifestacya patryotyczna młodzieży krakowskiej.





Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr.“; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Pod sztandarem szewca-pułkownika: W rocznicę Trzeciego Maja złożenie wieńca na pomniku Rejtana w Krakowie przez członków Czytelni im. Kilińskiego.

Wielka manifestacya patryotyczna młodzieży krakowskiej.

(Do illustracyi tytułowej).

Na innem miejscu piszemy o ogólnym obchodzie tegorocznego święta narodowego Trzeciego Maja w Krakowie, podając Czytelnikom naszym szereg illustracyj według własnych zdjęć fotograficznych. Na czele zaś numeru zamieszczamy wspaniały widok z mostu kolejowego na ulicę Wolską aż po nowy Uniwersytet, zalaną czterotysięczną rzeszą młodzieży szkolnej, idącej w pochodzie z pod pomnika Rejtana do parku Jordana dla złożenia wieńców na posągach twórców konstytucyi. Kiedy czoło pochodu doszło do rogatki, ostatnie szeregi nie ruszyły jeszcze z przed Rejtana. Oto szczegóły tej wielkiej manifestacyi patryotycznej młodzieży krakowskiej.

Po południu o godzinie 4 tej wyruszył z pod pomnika Rejtana pochód młodzieży szkolnej. Wzięła w nim udział przedewszystkiem „Organizacya wojskowa młodzieży szkół średnich“, w liczbie do 3 tysięcy, prowadzona przez naczelnika (generała) p. Müllera Alfreda, w otoczeniu sztabu z adjutantem generalnym p. Górskim. Pułk I. t. j. gimn. św. Anny, prowadzili pułkownik p. Srokowski i podpułkownik p. Rybka, pułk II, t. j. gimn. św. Jacka, pułkownik p. Pollak i podpułkownik p. Wojciechowski, pułk III, t. j. gimn. Sobieskiego, pułkownik p. Orczykowski i podpułkownik p. Babiasz, pułk IV, t. j. pierwszą szkołę realną, pułkownik p. Slanina i podpułk. p. Słotwiński, pułk V, t. j. gimn. Franciszka Józefa. pułkownik p. Załęcki i podpułk. p. Mancki, pułk VI, t. j. drugą szkołę realną, pułkownik p. Łatkiewicz i podpułk. p. Pisz, wreszcie pułk VII, t. j. gimn. podgórskie, pułkownik p. Zakrzewski i podpułk. p. Khun. Gimnazyum św. Anny wystąpiło z dwoma sztandarami, gimn. św. Jacka i Sobieskiego po jednym sztandarze.

Przygrywała znakomicie wyćwiczona orkiestra gimn. św. Anny pod kapelmistrzem p. Medwiczem, dalej orkiestra gimn. Sobieskiego z kapelmistrzem p. Jichą na czele, oraz orkiestra gimn. z Podgórza.

Prócz tego w pochodzie wzięły udział uczenice seminaryum nauczycielskiego i gimn. żeńskiego, dalej duży zastęp młodzieży akademickiej, uczniowie seminaryum nauczycielskiego i szkół wydziałowych. W pochodzie niesiono trzy wieńce z kart wizytowych. Ogółem w pochodzie wzięło udział do czterech tysięcy zszeregowanej młodzieży obojga płci, a za pochodem ruszyła do parku dra Jordana wielotysięczna publiczność, rozrzewniona do łez widokiem dziarskiej młodzieży. W parku Jordana złożono wieńce na popiersiach twórców Konstytucyi, a następnie młodzież zebrała się na największem boisku i tu przemówiło o znaczeniu Konstytucyi dwóch akademików. W końcu młodzież przedefilowała przed swym naczelnikiem i wróciła do miasta.



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr.“; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Święto narodowe: Obchód rocznicy Trzeciego Maja w Krakowie: Pochód uroczysty na Wawel z wieńcem na grób Kościuszki; prezydent miasta dr. J. Leo z radnymi i posłami w otoczeniu sztandarów cechowych, zamkniętych kordonem straży honorowej.



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr.“; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Święto narodowe: Obchód rocznicy Trzeciego Maja w Krakowie; uroczysty pochód manifestacyjny na Wawel; początek pochodu, który otwiera straż pożarna, wchodzi do pierwszej bramy Zamkowej, gdy koniec pochodu jeszcze nie wyszedł z Rynku.

Pod sztandarem szewca-pułkownika.

W manifestacyjnym pochodzie na Wawel w rocznicę 3 maja, wyróżniało się dobitnie z pośród innych stowarzyszenie robotnicze i rzemieślnicze pod nazwą „Czytelnia imienia Kilińskiego“, o której wspominamy też przy opisie całego pochodu. Czytelnia ta, założona przez krakowskie koło Tow. Szkoły ludowej imienia Adama Asnyka, zajmuje dzisiaj, pomimo krótkiego stosunkowo czasu istnienia, bo otwarcie jej odbyło się 5 listopada ubiegłego roku, pierwsze miejsce wśród krakowskich stowarzyszeń robotniczych i rzemieślniczych, oddziałujących w duchu narodowym.

Obecnie „Czytelnia imienia Kilińskiego“ liczy przeszło 100 członków. Zarząd jej składa się z samych robotników. Prezesem jest p. Z. Kruczkowski, sekretarzem p. St. Wojciechowski, skarbnikiem p. Nitzschke, gospodarzem p. Józef Fierchaus. Czytelnia utrzymuje w swoim lokalu bogatą bibliotekę i czytelnię; ruch odczytowy jest bardzo ożywiony, czego dowodem choćby fakt, że dotychczas odbyło się tam już 25 odczytów. Wogóle w każdy poniedziałek o godzinie 8 wieczór odbywa się tam odczyt. W czytelni zawiązało się również kółko amatorskie, które dotychczas urządziło 2 przedstawienia, oraz chór robotniczy, który brał udział w czterech obchodach narodowych. Dotychczas rozwój Czytelni pozwala przypuszczać, że w niedługim czasie Czytelnia skupi koło siebie pod sztandarem szewca pułkownika, całą krakowską młodzież robotniczą i rzemieślniczą.

Jak wspomnieliśmy wyżej, w obchodzie 3 maja wzięła Czytelnia imponujący mnogością członków udział. Z Wawelu wyruszyli członkowie z wspaniałym wieńcem, poprzedzani przez „Harmonię“ do pomnika pomnika Rejtana, na którym złożono wieniec i odśpiewano szereg pieśni patryotycznych.

Załączona illustracya według umyślnego zdjęcia naszego fotografa, przedstawia członków Czytelni po złożeniu wieńca pod pomnikiem Rejtana. Oprócz Wydziału stowarzyszenia znalazł się u stóp posągu także i nowy poseł do Dumy petersburskiej z Kalisza, znany mecenas Alfons Parczewski, od pewnego czasu z konieczności przebywający w Krakowie, gdzie był częstym dotychczas prelegentem w Czytelni im. Kilińskiego.



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr.“; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Święto narodowe: Obchód rocznicy Trzeciego Maja w Krakowie; pochód uroczysty na Wawel: Sokoli krakowscy.

OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr—ego.

7 Ciąg dalszy.

W mieszkaniu swojem zabawiła panna Orlicz-Modrzewska tylko krótką chwilę, a rychło potem już ją unosił pociąg kolejowy z Łodzi przez Koluszki w stronę Warszawy.

Późnym wieczorem wysiadła na dworcu Wiedeńskim w Warszawie i nie biorąc dorożki, pobiegła żywo naprzeciw na róg Marszałkowskiej i Widok, żeby zająć jaki mały numer w hotelu Wiedeńskim.

Tu jej było najdogodniej, bo i z dworca parę kroków i bliziutko do mieszkania doktora Anielskiego, którego miała odszukać w sąsiednich Alejach Jerozolimskich.

Tak była Halka podniecona i tak przejęta celem swej podróży, że zaraz w kantorze hotelu oddawszy paszport portyerowi, zapytała go:

— Czy nie mógłby mnie pan poinformować... będzie pan miał naturalnie jakiś kalendarz z adresami lekarzy warszawskich... muszę się zaraz dowiedzieć, gdzie mieszka doktor Jan Anielski.

Portyer dziwnie popatrzał na nią, poczem odezwał się bardzo poważnie:

— Doktór Anielski... Czy pani może jesteś jedną z jego krewnych.

Zachowanie się jego zastanowiło Halkę, więc szybko odpowiedziała:

— Tak... właściwie nie krewną, ale w każdym razie dobrą znajomą doktora.

— Jakto, i nie wie pani jeszcze nic o tem, że doktór Anielski nie żyje... Umarł zupełnie nagle, całkiem niespodziewanie, nie chorował nawet wcale... Jutro już pogrzeb.

Modrzewska zbladła nagle, usłyszawszy odpowiedź, a portyer aż przeląkł się, ujrzawszy, jak silne wrażenie wywarł na niej swojemi słowy.

— Umarł, umarł — mruczała Halka prawie niezrozumiale, wreszcie tknięta nową myślą, zagadnęła nagle.

— A nic pan przypadkiem nie słyszał o jego żonie?

— Owszem, proszę pani, właśnie, że wiem... Żona doktora zaraz po śmierci męża wyjechała z Warszawy z jakimś panem nie starym jeszcze, słyszałem, że to podobno jej ojciec.

— Boże, mój Boże — pomyślała Halka, teraz wszystko stracone — i długa chwila minęła, zanim wyszła z loży portyera zgnębiona.

— Nie, jeszcze nie wszystko stracone — szepnęła nagle do siebie dzielna dziewczyna. — Mam jeszcze jedną drogę, znam jeszcze jeden środek... a przed niczem się nie cofnę...

Nagroda miłości.

Kiedy nazajutrz rano po nieprzespanej nocy, schodziła po schodach w zamyśleniu Halka Modrzewska, zapinając powoli rękawiczki, wyszedł naprzeciw niej portyer hotelowy ze swojej loży i zatrzymał ją uprzejmie:

— Właśnie dowiadywałem się umyślnie i mogę panią poinformować, że wdowa po doktorze Anielskim nie wyjechała jednak z Warszawy, tylko z mieszkania przeniosła się do jednego z hotelów i stoi tam już sama, gdyż towarzysz jej chwilowy, o ile wiem, jej ojciec, wyjechał do Łodzi jeszcze wczoraj.... A zatem z panią doktorową może się pani każdej chwili zobaczyć, ja adres wskażę.

Modrzewska uradowała się niemało nowemi wiadomościami.

— Więc to przecież byłoby jeszcze wszystko możliwe do zrobienia — pomyślała sobie — a zatem jeszcze nic nie stracone, sprawy mogą się jeszcze dobrze ułożyć...

A tymczasem biedna dziewczyna przez całą noc mózg sobie suszyła nad tem, co ma począć, a najbardziej tem się kłopotała, jakiby wybieg znaleźć, byle sobie tylko oszczędzić najcięższego a zarazem najprzykrzejszego kroku w tej sprawie. Kiedy jednak nic nie znalazła, nie mając innej rady, powzięła już postanowienie udania się osobiście do Goldenthala. Będzie go prosiła, grozić mu będzie, gdy tego zajdzie potrzeba, a skoro już nic nie pomoże, zdecyduje się na najgorsze: zabije barona...

Wówczas Mieć będzie wolny i ona uratowana... Wówczas słowa dotrzyma, bo Mieczek Rożniewski jej będzie zawdzięczał swoje ocalenie.

Ale jak okropne wydały się jej owe zamysły. A jeżeliby się nie udał zamach na barona...

To też podwójnie rada była Halka portyerowi, gdy usłyszała, że może się w Warszawie zobaczyć z siostrą Mieczka. Otrzymawszy adres hotelu, w którym miała stać doktorowa Anielska, nie odkładała Modrzewska wizyty swojej na później, lecz pragnąc działać co prędzej, postanowiła udać się do niej natychmiast mimo wczesnej godziny porannej, żeby ją tem łatwiej zastać w domu.

Biegła żywo ulicą, rozważając w myśli słowa rozmowy doniosłej, jaka czekała ją za chwilę.

Po drodze natrafiła na jakieś zbiegowisko przed jednym z domów, w którym policya odbywała rewizyą. Nie mogąc się przecisnąć, musiała mimowoli słuchać przez chwilę rozmów między stojącą przed zamkniętą bramą gawiedzią. Opowiadano sobie sensacyjne zdarzenie ubiegłej nocy. Z sali sekcyjnej instytutu medycyny sądowej wykradziono trupa. Istniały podobno poszlaki, iż tego osobliwego rabunku dopuścił się nie bez celu, a z jakichś ważnych powodów jeden z mieszkańców domu, do którego teraz wpadła policya dla przeprowadzenia rewizyi i przetrząsa naturalnie całą kamienicę od piwnic do strychu.

Sensacya ta nic nie obchodziła Modrzewskiej, która zbyt była w tej chwili zajęta własnymi kłopotami, by się interesować szczegółami niesłychanego wypadku. To też użyła wszystkich sił, żeby co prędzej wydostać się z pośród zbiegowiska ulicznego i wskoczywszy do najbliższej doróżki, kazała się wieźć do hotelu.

Im bardziej jednak zbliżała się chwila, w której miała spotkać się oko w oko z siostrą Miecia, przejmowała ją jakaś tajemna trwoga.

— A jeżeli ta hrabianka Wanda jest równie dumną, jak jej ojciec — przyszło jej na myśl — jeżeli ona także wie cokolwiek o stosunku, jaki mnie łączy z młodym Rożniewskim... i jeżeli ona podobnie....

Na tę myśl zadźwięczał w jej uszach wyraz „ścierka“, który w twarz jej rzucił ojciec Miecia.

— Jeżeli i siostra drzwi mi wskaże z podobną obelgą?

Już wahanie się Halki omal nie kazało jej zawrócić z drogi, gdy właśnie dorożka zatrzymała się przed hotelem, w którym, jak jej powiedziano, mogła odnaleźć wdowę po doktorze Anielskim. Zebrała więc resztki sił i energii, poczem wysiadła spokojnie z dorożki i zbliżyła się do loży portyera.

Teraz dopiero przypomniała sobie, że właściwie nie wie, o kogo ma pytać... Pod jakiem nazwiskiem mogła stanąć w hotelu młoda wdowa, czy jako doktorowa Anielska, czy też jako hrabianka Rożniewska, skoro przybyła tu z ojcem... To ostatnie wydało się jej prawdopodobniejsze. Więc kiedy naprzeciw niej wyszedł elegancki portyer z czarnemi bokobrodami i uchylił czapki ze złotymi galonami, zapytała jak najspokojniej:

— Czy mieszka tu hrabianka Wanda Rożniewska?

— Owszem i jest jeszcze w domu, przed chwilą wstała dopiero.

— A zatem proszę mnie zameldować... Niech pan wymieni tylko nazwisko hrabiego Mieczysława Rożniewskiego....

I udała się w ślad za portyerem po schodach na pierwsze piętro, gdzie ten wskazał jej numerową, młodą, przystojną panienkę w popielatej sukni z czarnym fartuszkiem, a w białym czepeczku na filuternej główce.

— Panienka będzie tak grzeczna powiedzieć, że sprawa jest bardzo pilna i dlatego muszę się zaraz zobaczyć z hrabianką.

Numerowa nader uprzejma dla przybyłej, pobiegła jak najchętniej w głąb kurytarza spełnić jej życzenie, gdy tymczasem Modrzewska jakby od niechcenia poprawiała sobie wiatrem rozrzucone włosy przed wysokiem zwierciadłem naprzeciw schodów.

Za małą chwilkę usłyszała Halka głos powracającej:

— Pani hrabina prosi.

Radość wlały w duszę Modrzewskiej te słowa, ale zaledwie kilka kroków zrobiła w stronę drzwi mieszkania córki dumnego Rożniewskiego, znowu zadźwięczało w jej uszach straszne słowo: „ścierka“.

Jednocześnie wszakże przypomniała sobie swego najdroższego Miecia i myśl o nim gotowa była goić jej najboleśniejsze rany, na jakie mogłaby się narazić.

Gdy się znalazła w drzwiach numeru hotelowego, z krzesła w głębi pokoju podniosła się szlachetna postać kobieca i szła na jej spotkanie.

— Wybacz mi pani... proszę tylko o chwileczkę cierpliwości... Zechciej mnie pani wysłuchać spokojnie, a dowiesz się, z czem tu przychodzę — mówiła drżącym głosem, widocznie bardzo wzruszona i zalękniona.

Zauważyła to hrabianka Wanda i przyjaźnie wyciągnęła ku niej swoją małą, białą rękę.

— Domyślam się, że pani jesteś tą dobrą panną Halką, o której brat mi w listach wspominał, nie mając dość słów na wychwalanie zalet paninego serca, wbrew temu wszystkiemu, co zazwyczaj mówią ludzie o charakterach pań z teatru... a pani jesteś pono artystka i o ile wiem, również z listów Miecia, wielce utalentowaną...

Modrzewska słucha i uszom własnym wierzyć nie chce... Czyżby nie zrozumiała... Ale ton, w jakim Wanda do niej na wstępie przemawia, nie daje żadnych wątpliwości: przywitała ją tedy jak najżyczliwiej, niemal przyjaźnie. Więc po tej miłej niespodziance, wzrok pełen wymownej wdzięczności podniosła Halka na Wandę i mówić zaczęła głosem jeszcze bardziej wzruszonym niźli wprzódy, jakkolwiek już bez zalęknienia.

— Tak jest, to ja właśnie jestem ową śpiewaczką Tolą Orliczówną, o ktorej pani niezasłużone pochwały słyszała od brata... Dla niego jednak jestem tylko Halką Modrzewską i jeżeli pan Mieczysław o mnie nie jako o aktorce w listach swych powiedział kiedy dobre słowo, to mu jestem obowiązana wielce z tego względu, iż mogło to panią dla mnie dobrze usposobić... A niczego bardziej nie pragnę w tej chwili, ponieważ przybyłam tutaj wyłącznie jako ta Halka, którą brat pani kocha szczerze, podobnie jak ja kocham jego, zupełnie bezinteresownie, nie po aktorsku i bez względu na jego stanowisko lub położenie materyalne młodego hrabiego. Może się to pani wydać nieprawdopodobne, może pani upatrywać tendencyjność łatwo zrozumiałą zresztą zarówno w moich słowach, jakoteż w listach brata... Niewymownie jednak byłabym pani wdzięczną, gdybyś była łaskawa wierzyć w szczerość moich intencyi...

Wanda serdecznie uścisnęła obie ręce przybyłej i usiadłszy wraz z nią przy stoliku, odezwała się głosem dźwięcznym, jakkolwiek zbolałym, a w tonie pełnym przyjaźni życzliwej:

— Wierzę pani w zupełności i mogę panią zapewnić, iż nieraz wydawało mi się, że to pani właśnie jesteś tym dobrym duchem Miecia, ile razy na pewien czas zaniechał on swoich namiętności... a jednak nawet miłość pani nie zdołała odwrócić katastrofy obecnej...

Przy tych słowach Wanda twarz zakryła rękoma i wybuchnęła gorzkim płaczem.

Na widok serdecznych cierpień sympatycznej kobiety zabłysły w oczach Modrzewskiej mimowolnie dwie łzy. Żal się jej zrobiło Wandy, którą wstrząsało łkanie, długo zapewne tłumione.

— Ach, gdybym mogła umrzeć wraz z moim mężem — wyrwało się z jej piersi głośno rozpaczliwe westchnienie.

Halka do żywego wzruszona, spoglądała na ból jej z rozrzewnieniem. Ona, która do tej chwili myślała tylko o sobie i o swoim kochanku, ujrzała naraz kobietę, której śmierć odebrała wszystko, co na świecie miała najdroższego, a która mimo to zdobyła się na tyle hartu ducha, iż postanowiła ofiarować całe życie dla wzniesienia ołtarza szczęściu ojca i brata.

Co za szlachetność wzniosłej duszy biła od tej ofiary... Ileż ta kobieta musiała przecierpieć w ciągu godzin ostatnich, co za walkę z samą sobą musiała przebyć...

Wtedy Modrzewska zęby zacisnęła na myśl, że taka właśnie kobieta miałaby zostać żoną barona Goldenthala.

— Nie, nigdy — rzekła do siebie — ja temu przeszkodzę, wszelkich sił użyję, żeby nie dopuścić do takiego nieszczęścia.

Wanda oparta o poręcz kanapy płakała dalej rzewnie, gdy Halka dyskretnie przysunęła się do niej i nachyliwszy się tuż nad łkającą, szepnęła:

— Pozwoli mi pani zadać sobie jedno pytanie...

Zagadnięta, w milczeniu podniosła na nią pełne łez oczy czarne.

— Czy pani istotnie zaślubi barona Goldenthala — spytała wtedy Modrzewska.

— Dlaczego mnie pani o to pyta — odparła śpiesznie Wanda, zatapiając wzrok swój w ślicznej twarzyczce młodziutkiej artystki.

— Dlaczego... Ha, powiem pani otwarcie... Ponieważ ten człowiek nie wart jest, byś pani miała zostać jego żoną; dalej, ponieważ jedynie zbrodnicze pobudki skłaniają go do sięgania w tej chwili po rękę hrabianki Rożniewskiej; wreszcie ponieważ brat pani pod żadnym warunkiem nie przyjmie tej ofiary z paninego szczęścia, z paninego życia... i raczej rewolwer przyłoży sobie do skroni, ani-

żeli miałby ścierpieć, by siostra jego została małżonką człowieka, którego Mieć nietylko nienawidzi, ale którym nadto... wybacz mi pani... pogardza w najwyższym stopniu...

Wypowiadając te słowa, stała panna Orlicz-Modrzewska w postawie nad wyraz skromnej u wezgłowia kanapy, na której wpółleżąco siedziała zgnębiona siostra Mieczysława; ale z oczu Halki w chwili, gdy to wyznanie śmiałe przed Wandą składała, wyzierało wyraźnie wielkie a serdeczne wzburzenie, jakie rozpierało wnętrze duszy szlachetnej dziewczyny.

Usta Wandy poruszyły się nerwowo.

— Boże, czyż moim mękom nie będzie już końca — szepnęła prawie niezrozumiale, a po chwili dodała tonem silnego postanowienia:

— Nie... już dałam słowo i temu panu i mojemu ojcu... przyrzekłam już, nawet przysięgłam... Więc dla mnie już niema wyjścia... cofnąć się już mi nie wolno...

Delikatną twarz Halki oblał rumieniec, a w oczach widne były błyski, gdy w odpowiedzi rzuciła nowe pytania:

— A zatem jesteś pani zmuszoną... działasz pani tylko pod przymusem... czy tak — dodała z naciskiem, — musisz pani?

— Muszę i chcę.

— A gdyby Mieć... a gdybym ja...

Nie dokończyła, gdy Wanda podniosła się prostując dumnie:

— Dlaczego muszę i dlaczego chcę, powiem to pani zaraz... Zmuszono mnie, tego nie zaprzeczam, ale teraz chcę pokazać mężczyznom, co może kobieta.. Gdy oni stanęli bezradni przed przeszkodą, która była tylko nieuniknionem następstwem lekkomyślnych ich czynów, ja pragnę dać im przykład, który prawdopodobnie oddziała jak przestroga na przyszłe ich życie... I wierzę, że ofiara straszna, jaką poniosę teraz, wpłynie bezwarunkowo na Mieczka, który jedynie skutkiem tego, odmieni chyba swój tryb życia.

— Zamysły, z jakimi tu do pani przyszłam, prysły, jak bańka mydlana... Pozostaje mi jeszcze jeden, jedyny środek... Żegnam tedy panią... Z całego serca życzę pani szczęścia, hrabianko...

I ręce wyciągnęła w stronę Wandy, lecz ta, nie żegnając się z nią, jeszcze zajrzała Halce w oczy głęboko, poczem rzekła powoli, prawie uroczyście:

— Nie wiem jeszcze, co pani zamierzasz, panno Halko... ale wiem, że miłość prawdziwa odważyć się gotowa na wszystko i do wszystkiego jest zdolna... Kochaj pani Miecia nadal gorąco, bo memu bratu bardzo potrzeba tej wielkiej miłości szlachetnej duszy... Proszę tedy pani, kochaj go z całego serca — dodała ściskając jej ręce.

— Umrę, gdy on umrze — szepnęła Modrzewska, ale w tej chwili ból ścisnął jej serce na myśl o grożącej Mieczkowi katastrofie, więc odwróciła się pośpiesznie i żywo zmierzała ku drzwiom.

— Halko — zawołała wtedy miękkim tonem prośby Wanda.

A kiedy Modrzewska przystanęła i odwróciła się ode drzwi, hrabianka poszła za nią, za rękę ją ujęła i przyprowadziła z powrotem do stolika przy którym usiadły obie na nowo.

— Chciałabym pani zrobić jedną propozycyę — zaczęła Wanda — jeżeli się pani na to zgodzisz, to jeszcze wszystko może być dobrze dla Miecia i dla pani.

— Nie rozumiem pani jeszcze.

Wtedy hrabianka sięgnęła do szuflady, pytając jednocześnie.

— Powiedz mi pani otwarcie, ile też wynosić mogą najważniejsze długi Mieczka.

Przy tych słowach wyjęła z szuflady dużą kopertę.

— Najpilniejsze — odparła poważnie Halka — wynoszą dziś trzydzieści tysięcy rubli, ogółem jednak, o ile mi wiadomo, suma długów Miecia nie przekracza pięćdziesięciu tysięcy... Nie przeraża pani ta ogromna cyfra... w tak młodym wieku i w tak krótkim czasie, rozporządzając jeszcze do niedawna ciągle znacznemi funduszami od ojca, zdążył jednak Mieć zadłużyć się na pięćdziesiąt tysięcy rubli.

— Wyobrażałam sobie nawet gorzej jeszcze.

— Ah, bo pani pewnie przypuszczała, że ja go tak materyalnie rujnuję... przepraszam, że ja jestem tak z panią szczera... Ale właśnie przed jakimś tygodniem, mimo jego protestów, a na skutek mego uporu, zrobiliśmy o ile możności dokładne obliczenie, ile ja też Miecia kosztowałam dotychczas... Wliczając więc wszystkie prezenta oraz wszystko co łożył na moje wykształcenie... to od chwili naszego poznania się wydał na mnie przez cały czas dwa tysiące siedmset rubli.

Uśmiechnęła się na to Wanda jeszcze bardziej ujęta szczerością przyjaciółki swego brata.

— Pocóż mnie pani wtajemnicza w takie rzeczy... cóż ten skromny wydatek znaczy wobec sumy...

— Pięćdziesięciu tysięcy rubli — dokończyła Halka. A wtedy hrabianka z gestem niesłychanie dyskretnym podsunęła jej dużą kopertę przed chwilą z szuflady wyjętą.

— Tu jest sto tysięcy rubli. Pieniądze te należą do pani i możesz z nimi robić co zechcesz.. Nie krępuję pani zupełnie. Poznałam cię dostatecznie i z zaufaniem zupełnem wręczam pani tę sumę, spokojna o jej los i przekonana, że postąpisz najlepiej, sama rozporządzając do woli temi pieniądzmi.

Modrzewska zbladła i cofnęła się.

— Ah, domyślam się... pani przypuszczasz zapewne, że pieniądze te pochodzą od barona Goldenthala, nie, panno Halko, możesz być spokojna. Sumę tę przysłano mi dziś dopiero, przed chwilą nawet, zanim pani tutaj przyszłaś... przysłano mi ją jako honoraryum za operacyą, która wiele kosztowała, bardzo wiele, bo życie lekarza i pacyenta... Ja zaś chcę dzisiaj tymi pieniędzmi utorować drogę do szczęścia dwojgu innym ludziom, a jeżeli marzenia moje spełnią się, błogosławić będę godzinę, w której udało mi się położyć podwaliny pod owo szczęście tak gorąco przezemnie dla was upragnione...

Kiedy kilka minut później Modrzewska opuszczała Wandę, ta jeszcze raz uścisnęła ją serdecznie i całując w czoło, szepnęła wzruszona:

— Musicie być szczęśliwi oboje... to moje ostatnie życzenie.



— Jakto, i nie wie pani jeszcze nic o tem, że doktór Anielski nie żyje.... Umarł zupełnie nagle, całkiem niespodziewanie, nie chorował nawet wcale... Jutro już pogrzeb.

Upiór.

Kiedy baron Goldenthal pożegnawszy się z Rożniewskimi, znalazł się sam na sam w swoim pokoju z własnemi myślami i nie potrzebował przywdziewać aktorskiej maski przed ludźmi, zatarł ręce radośnie z miną tryumfującą i zawołał do siebie:

— No, udało się szczęśliwie... Tylko ten Anielski trochę mi szyki popsuł swoją śmiercią nagłą. Ale to nic, przecież i to się na coś przyda. Właśnie, że niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Nawet lepiej, że nie żyje... A teraz trzeba działać, już czas.

Zaczął wyciągać z kieszeni mnóstwo papierów, przerzucał listy po listach, jedne darł od razu, inne na stół odkładał, poczem z nich znowu wybrał kilka tylko i te włożył do szuflady, resztę papierów zostawiwszy na wierzchu.

Następnie wyjął z portfelu list widocznie niedawno odebrany a niezwykle ważny i zaczął czytać go uważnie. Przy niektórych słowach brwi marszczył, to znów czoło chmurzył, wreszcie pięścią w stół uderzył:

— Ach ta Modrzewska... Tego Remana zgniotę, rozdepczę, jak robaka — i baron tupnął nogą w podłogę.

Zerwał się od stołu i tam i z powrotem przechadzał się po pokoju niecierpliwie, nerwowo, szerokim krokiem, nierównym.

Znowu przystanął przed stołem i w czoło się uderzywszy, zawołał do siebie:

— Ja temu chłopcu zanadto zaufałem... Gdyby on mnie tak na wskroś przejrzał teraz... Ba!... Ale on odemnie zależy... A jednak mam racyę, że to istne szczęście, iż doktor Anielski umarł... Gdyby tak oni przeczuwali, ci Remanowie... i oni są dziedzicami... oni także!

Poczem jakieś niezrozumiałe bełkotał wyrazy chodząc niespokojnie po pokoju.

— Anielski — mruczał znowu — sposobność jest dobra... Trzeba działać.

Zamknął drzwi na klucz, rozejrzał się po pokoju, poczem story w oknach popuszczał i chociaż był bezwarunkowo sam w pokoju, jeszcze z lampą w ręce obszedł wszystkie kąty, nawet pod łóżko zajrzał i za szafę, zasłaniającą głęboką framugę drzwi.

Po tych dziwnych przygotowaniach otworzył czterema kluczykami sekretnymi kuferek i wyciągnął z niego żelazną szkatułkę.

Jeszcze raz poskoczył ku oknu, żeby się upewnić, czy między storą a futryną okienną szpara nie jest tak szeroka, by go mógł ktoś tędy podpatrzyć zdala z przeciwległych okien.

Wrócił wreszcie do stołu, otwarł kasetę i przez chwilę grzebał w paczce starych pożółkłych papierów.

— To jest mój majątek — mruczał do siebie uśmiechając się — brak mi tu jeszcze jednego i to jedno także zdobyć muszę...

Odczytywał coś długo w starych szpargałach, już je zwijał, to znów z powrotem czegoś w nich szukał, to się im pod światło przypatrywał, uważnie badając, aż na koniec zamknął szkatułkę, schował ją do kuferka, który teraz umieścił w szafie i klucze oraz kluczyki sekretne, pochowawszy przezornie przy sobie, zatarł ręce z zadowoleniem.

Zegar wskazywał północ, kiedy baron zdjął z wieszadła duży płaszcz czarny z peleryną, zarzucił go sobie na ramiona i ukrywszy w jego kieszeni małą latarkę, zeszedł do restauracyi hotelowej. Zastał tam już tylko kilka osób, wśród których nie zauważył wcale znajomych.

Przywitał się tedy z gospodarzem, z którym widocznie znać się musieli dobrze — i usiadł z nim przy dogodnym stoliku w kącie, gdzie mu zaraz podano zamówione wino.

Jak gdyby od niechcenia wdał się z nim zaraz w rozmowę na temat śmierci doktora Anielskiego, którego — o czem baron wiedział z góry, miał gospodarz sposobność znać bliżej.

— Więc pan sądzi, że doktor Anielski biedę klepał?

— Biedę, nie biedę, panie baronie... Ale ręczę panu, że nieboszczyk zarabiał tylko tyle, ile mu niezbędnie potrzeba było na skromne utrzymanie z żoną i dzieckiem...

(Dalszy ciąg nastąpi).



Średniowieczny obraz z XX. wieku: Niezwykły epizod z inwentaryzacyi kościołów we Francyi: Po całodziennem bezskutecznem szturmowaniu do zaciekle przez parafian bronionego kościoła w Yssingeaux, wojsko zdobywa nareszcie główną bramę, lecz natrafia na barykady wewnętrzne.

Średniowieczny obraz z XX. wieku.

Każdemu, kto spojrzy na załączoną tu rycinę, wyda się z pewnością, że ma przed sobą nie fotografię współczesną, ale obraz, przedstawiający jakiś moment historyczny z dziejów średniowiecznych. Tymczasem rycina ta wyobraża tylko niezwykły epizod z inwentaryzacyi kościołów prowincyonalnych, przeprowadzanej z takim trudem we Francyi przez władze rządowe. Rzecz działa się w Yssingeaux w departamencie Haute Loire. Parafianie tak zaciekle bronili przystępu do kościoła komisyi inwentaryzacyjnej, że wojsko szturmowało na próżno od rana do wieczora przez cały dzień do kościoła, aż wreszcie, jak widać na illustracyi, zdobyto główną bramę. Wówczas jednak trzeba było dopiero rozwalać barykadę ogromną z krzeseł i konfesyonałów, któremi wejście zatarasowali od podłogi aż po samą górę zamknięci wewnątrz pobożni, niechcący dopuścić do profanacyi świętości katolickich przez spisywanie inwentarza naczyń kościelnych.

Los Gapona.

Nareszcie skończyła się rola Gapona, którego cały świat przed rokiem jeszcze uważał za proroka ludu wiejskiego, za rosyjskiego Savonarolę. Gapon, zdradziwszy lud, który mu ślepo ufał, zginął haniebną śmiercią zdrajcy, na jaką sobie zasłużył.

W sferach rewolucyonistów rosyjskich Gapon nigdy nie cieszył się popularnością. — W życiu prywatnem był on hultajem wyuzdanym po nad wszelką miarę. Nie odznaczał się ani energią, ani inteligencyą, a rewolucyoniści posługiwali się nim jedynie dla jego talentu krasomówczego, którym istotnie słuchaczy porywał. Zagraniczni kierownicy rewolucyi, poznawszy go bliżej po jego ucieczce z Rosyi, przyjęli go tak zimno, iż Gapon zrozumiawszy, iż nie uda mu się zostać rosyjskim Sa-



Los Gapona: Rozgłośny na początku rewolucyi rosyjskiej pop Gapon, który 22 stycznia 1905 prowadził lud petersburski przed pałac Zimowy, a którego teraz rewolucyoniści za zdradę powiesili.



Fot. umyślnie dla „Nowości Ill.“ Marek Münz, Lwów.

Jednoroczniacy X. korpusu: Grupa ochotników jednorocznych ze wszystkich pułków piechoty X. korpusu zgromadzonych na kursie we Lwowie.

vonarollą, postanowił wiadomości swoje i stosunki spożytkować w innym kierunku, mianowicie wrócił do Rosyi, skomunikował się z policyą i został — szpiegiem rządowym.

Rewolucyoniści nie potrzebowali dużo czasu do odkrycia zdrady, tem bardziej, że Gapon był sam na tyle głupi, iż zaprzyjaźnionemu z nim, ale szczeremu rewolucyoniście zaproponował współudział w szpiegostwie. Naczelne władze rewolucyjne uważały Gapona za figurę nadto nędzną, aby się na nim mścić. Postanowiono zażądać odeń tylko pisemnej deklaracyi o jego stosunkach z rządem i deklaracyę tę następnie opublikować.

Robotnicy jednak, dowiedziawszy się o tem, postanowili Gapona stracić. W tym celu ów przyjaciel Gapona, którego on namawiał do współudziału w szpiegostwie, zaprosił go do willi pod Petersburgiem. Tu po raz drugi zażądał od Gapona powtórzenia uczynionej mu propozycyi, której wysłuchali ukryci w przyległym pokoju czterej robotnicy.

Kiedy Gapon, nic nie przeczuwając, wyłożył raz jeszcze plan szpiegostwa, rewolucyonista ów oświadczył Gaponowi, że ten plan jego ogłosi w dziennikach. „To ja zaprzeczę, nikt nie uwierzy temu“ — odpowiedział Gapon. „W takim razie powołam się na świadków“ — zauważył rewolucyonista. Gapon roześmiał się i powiedział: „Skądże weźmiesz tych świadków?“ W tej chwili otworzyły się drzwi od przyległego pokoju, czy też od jakiejś skrytki i Gapon ujrzał przed sobą nie tylko czterech świadków, ale i czterech sędziów. Robotnicy byli tak rozwścieklení podłością popa, że w mgnieniu oka związali go, a w kilka sekund niedoszły Savanarolla rosyjski wisiał już na świeczniku w salonie willi...

Wszystko to wprawdzie zakrawa na epizod z kryminalnej powieści, ale na uwagę mimo to zasługuje, chociażby dlatego, że jest to jeden jeszcze przykład, iż z masami igrać nie wolno, że ludowi albo się trzeba oddać całą duszą, albo do niego nie schodzić.



Rząd a naród w Rosyi: Wybory do Dumy: głosowanie Finlandczyków w Wyborgu.

Jednoroczniacy X. korpusu.

Jednoroczna służba wojskowa, choć dla wielu przykra i ciężka, ma jednak niewątpliwie pewien urok i pozostawia na całe życie wiele miłych wspomnień. Kiedy się opuści szeregi wojskowe, zapomina się powoli o wszystkich przykrościach „abrychtunku“, o „eincykach“, niewygodach, zapomina się, ile to trzeba było wysiłku woli, aby uczynić zadość wymaganiom przełożonych, a w pamięci pozostają wspomnienia chwil wesoło w gronie towarzyszów broni spędzonych, przypominają się wesołe żarty i dowcipy, rozmaite przygody własne i kolegów, budząc nieraz żal, że się to wszystko już skończyło.

Szczególniej urozmaiconą służbę mają w tym roku jednoroczni ochotnicy pułków piechoty, należących do korpusu X., tj. lwowskiego. Po raz pierwszy mianowicie od czasów zaprowadzenia w Austryi służby jednorocznej, powołano jednoroczniaków ze wszystkich pułków piechoty całego korpusu po ukończeniu tzw. „szkoły jednoroczniarskiej“ w poszczególnych pułkach na wspólny dwumiesięczny kurs we Lwowie. Dotychczas zaś jednoroczni ochotnicy bywali po ukończeniu „szkoły“ przydzielani do kompanij w swych pułkach.

Kurs wspomniany zgromadził we Lwowie około 100 dzielnych jednoroczniaków z pułków lwowskich: 15, 30, 80 i 95, czerniowiecko-stanisławowskich: 24, 41 i 55, oraz z 30 batalionu strzelców polnych. Tworzą oni wszyscy jedną kompanię, rozmieszczoną w koszarach 95 pp. a częścią w domu inwalidów. Komendantem szkoły jest kapitan 95 pp. p. Ryszard v. Babouczek, człowiek europejskiej kultury, w obejściu nadzwyczaj uprzejmy i grzeczny.



Rząd a naród w Rosyi: W prowincyach nadbałtyckich na wsi rewizya osobista podróżnych przeprowadzana przez marynarzy.

Rycina nasza przedstawia grupę, zgromadzonych na „hofie“ koszar 95 pp, jednorocznych ochotników całego X korpusu. W pośrodku oficerowie instrukcyjni z kapitanem Babouczkiem.

Rząd a naród w Rosyi.

Na pierwszy plan w wewnętrznej polityce państwa rosyjskiego, występuje dzisiaj zmiana prezydenta gabinetu. Co ją spowodowało? Na razie nie wiemy i chyba istotne powody ustąpienia hr. Wittego z naczelnego kierownictwa nawą państwową, nie prędko dotrą do wiadomości ogółu. Według prywatnej depeszy z Petersburga, Witte podał na posiedzeniu rady ministrów do wiadomości, iż zamierza ustąpić z racyi złego stanu zdrowia. Jako powód ustąpienia podają dzienniki różnicę zdań, wynikłą podczas obrad w Carskiem Siole nad projektem ustaw zasadniczych. Późniejszy komunikat urzędowy głosił, że już przyjęto dymisyę prezydenta ministrów Wittego. Jako jego następcę wymieniają Goremykina. W kołach poinformowanych twierdzą, że Goremykin prowadzić będzie dalej politykę Wittego, a Witte ustępuje wyłącznie ze względu na zdrowie, nadszarpnięte zbytnią pracą, uda się przeto niezawodnie na dłuższy odpoczynek.



Sergiusz Witte, ustępujący prezydent ministrów w Rosyi.

A więc fakt spełniony: Witte zakończył karyerę polityczną. Ustąpieniu jego z pałacu ministeryalnego nie towarzyszą łzy żalu, choć tak świetnie rozpoczynał ostatnią epokę swej działalności w Portsmouth, skąd wracał, na złość licznym przeciwnikom, jako tryumfator i zbawca ojczyzny. Nadano mu tytuł hrabiowski, żonę dopuszczono wreszcie do uczestnictwa w dworskich zebraniach,



Rząd a naród w Rosyi: Wybory do Dumy państwowej, odbywające się w Wyborgu w Finlandyi, w „Domu ludowym“, fundacyi braci Nobel.

o co pani Witte lat tyle bezskutecznie zabiegała; „ziemcy“ i wogóle cała partya reformy obdarzała go pełnem zaufaniem, widząc w nim męża, który skołataną Rosyę na nowe pchnie tory.

Niestety wszystkie różowe horoskopy rozwiewały się z dnia na dzień coraz bardziej: Wittego popularność zabił brak szczerości i odwagi. Przy-



Otwarcie przystani Tow. wioślarskiego w Warszawie: Prezes Tow. Ksawery hr. Branicki.

ciśnięty do muru, wywijał się, jak mógł, od odsłonięcia właściwych zamiarów; wypowiadane do rozmaitych deputacyj i delegatów słowa, bezustannie prostował, doprowadzając tę bezustanną polemikę z głosami prasy, za pośrednictwem oddanej sobie „Petersb. Agenc. telegr.“, do absurdum. Brakło mu odwagi do pozbycia się z gabinetu ministra Durnowa, nie zdecydował się do ostatniej chwili do odsłonięcia swego stosunku z tym politykiem starego systemu, tak stanowczo przeciwnym wszelkim „zachodnim mrzonkom“. Durnowo rządził pod egidą hrabiego-premiera wszechwładnie: całe niemal państwo zakuł w stan wyjątkowy. Witte na wszystko patrzył przez palce. Obiecywał wprawdzie w urzędowych oświadczeniach wiele pięknych rzeczy, otwierał serce wobec informatorów pism londyńskich, wiedząc z góry, że wszystkie te rewelacye poważnych organów angielskich prasa zagraniczna w lot pochwyci i przerzuci je przez słupy graniczne w głąb Rosyi, lecz kończyło się zwykle na obiecankach i miodowo-słodkich słówkach, a rezultatem takiej „polityki“: kompletna utrata zaufania społeczeństwa do premiera, coraz silniejszy rozdźwięk między hr. Wittem a narodem rosyjskim.

Ostateczny ratunek zostawał w odpowiednio przeprowadzonych wyborach do Dumy państwowej, do której zwołania zmusiła smutna bardzo konieczność. Wewnątrz kraju groziła rewolucya, stokroć gorsza od owej moskiewskiej; zagraniczni potentaci finansowi stawiali jako warunek udzielenia poparcia — zwołanie Dumy. Lecz niestety, mimo wszelkie zabiegi miejscowych czynników administracyjnych, wyszła na całej linii z urn wyborczych... opozycya. Nawet dwa serca Rosyi, dwie stolice państwa, stara i nowa: Moskwa i Petersburg wybrały zdecydowanych zwolenników reformy. Wszystkie rdzennie rosyjskie gubernie wysyłają do pierwszego parlamentu rosyjskiego konstytucyjnych demokratów; stronnictwo prawicy zaledwie kilkanaście zajmie foteli w pałacu taurydzkim, a włościanie, na których Durnowo tak bardzo liczył, zmieniając przede wszystkiem na ich korzyść pierwotny projekt ustawy wyborczej, tworzą wprawdzie odrębną partyę, lecz hasła radykalne rozgościły się w niej wszechwładnie i właśnie to stronnictwo, ilościowo tak przeważające w Dumie, jeśli tylko wałem stanie pod sztandarem, rozwiniętym przez agitatorów, nie mających absolutnie nic do stracenia, a bardzo wiele do zyskania — najwięcej przysporzy przykrości opiekuńczemu rządowi.

Inny orzech, twardy do zgryzienia, to sprawa żydowska. Już od dłuższego czasu usiłowała „Petersburska Agencya telegraficzna“, chyba nie z własnego natchnienia, wprowadzić ferment w kadrach kadetów, używając właśnie jako taranu do rozbicia harmonii i zgody, tak niepopularnej w gruncie rzeczy w szerokich masach społeczeństwa rosyjskiego sprawy równouprawnienia żydów, którą rzekomo za poparcie wyborów wnieść mieli na porządek dzienny obrad Dumy konstytucyjni demokraci. Manewr nie powiódł się: solidarności nie



Otwarcie przystani Tow. wioślarskiego w Warszawie: Przygotowania do wyjazdu pierwszej łodzi z przystani pod okiem wiceprezesa Kobyleckiego.

rozbito, a sprawa żydowska istotnie zatruć może niejedną chwilę gabinetowi rosyjskiemu.

Sprawy natury agrarnej, autonomia Polski i innych kresów — to również punkty programu, wobec których trzeba będzie odsłonić karty i oświadczyć się jasno: za albo przeciw, łatwiej więc było skorzystać z istotnego znużenia i zmęczenia nadmierną pracą i usunąć się do jakiegoś zachodniego uzdrowiska na odpoczynek.

Tę drogę wybrał sobie hr. Witte, oddając w ręce następcy swego, pana Goremykina nawę państwową, dostatecznie skołataną. Nowy premier ma prowadzić w dalszym ciągu politykę hrabiego-premiera; czy na tej drodze zajdzie daleko? okaże niedaleka przyszłość. Jakby na ironię — z Dalekiego Wschodu dzisiaj właśnie dolatują coraz donośniejsze echa o bardzo prawdopodobnym nowym zatargu z Japonią, który kosztował już Rosyę tyle ofiar i stał się ową ostatnią kroplą, co spowodowała tak straszne w następstwach kataklizmy. Czyżby i na tem polu zabiegi hr. Wittego miała rozbić bezwzględna rzeczywistość?

Otwarcie przystani Tow. wioślarskiego w Warszawie.

Hasłem prawdziwej wiosny jest dla Warszawy doroczne otwarcie przystani Towarzystwa wioślarskiego.

Uroczystość ta, niewątpliwie oczekiwana od chwili spłynięcia lodów, zawsze serdeczna, pełna wesołego nastroju, zgromadzi nie tylko zarząd i członków Towarzystwa, ale również niezliczone zastępy jego przyjaciół, przyjaciółek i szerokiej publiczności.

Tłumno i gwarno było i w niedzielę już od rana na przystani, strojnej w zieleń, a wreszcie ucichło się, gdy przemówił wiceprezes Towarzystwa p. Kobylecki, poczem podniesiono flagę wśród śpiewów choralnych „Dudy“, których echa niosły fale królowej rzek polskich, Wisły, hen daleko, aż do Gdańska.

Tuż potem przystąpili dzielni wioślarze raźno do aktu najważniejszego, bo do pierwszej wyprawy sportowej oczekującemi już w przystani łodziami.

Pierwsza łódź przygotowuje się już pod okiem naczelnika przystani p. Czarneckiego i wicepre-



Własnym jachtem: Przez kanał Koryncki płynie własnym jachtem głośny miliarder amerykański. Pierpont Morgan, udający się na Igrzyska Olimpijskie do Aten.



Otwarcie przystani Tow. wioślarskiego w Warszawie: Pierwsza łódź wypłynęła na Wisłę pod komendą naczelnika Czarneckiego.

zesa p. Kobyleckiego do odjazdu z przystani. Dzielni druhowie ledwo już miejsc swych dosiedzą, tak ich ciągnie kochana Wisełka po długim zimowym wypoczynku. Jeszcze kilka rozkazów, aż oto kilka wytężonych rytmicznych poruszeń wiosłami, a już widzimy łódź pierwszą hen na środku Wisły, szybującą lotem jaskółki po spokojnej toni,



Wybory posłów w Warszawie: Władysław hrabia Tyszkiewicz, wybrany 3-go maja posłem miasta Warszawy do Dumy państwowej.
(Do artykułu na stronie 14).

na tle uroczych brzegów Pragi, rozwidlonej dwiema wieżycami kościoła św. Floryana ku niebu, jakby z prośbą o szczęśliwy sezon dla wioślarzy. „Bóg im daj!“ *B-t.*

Własnym jachtem.

Pomimo tylu narzekań na zawistny los, są jednak ludzie na świecie, o których nie można powiedzieć, żeby nie byli szczęśliwi. Przynajmniej niektórzy mogą spełniać wszystkie swoje zachcianki, mogą dogadzać wszystkim swoim chęciom, a to już daje pewną sumę zadowolenia, które możnaby nazwać szczęściem.

Weźmy ot, chociażby naprzykład amerykańskich miliarderów. Niewielu ich jest, to prawda, ale oni chyba nie mają powodów do narzekania na los. Mają przecież do rozporządzenia własne koleje, własne wspaniale urządzone okręty, przepyszne hotele w stolicach, i wszystkie przyjemności na zawołanie.

Na załączonej illustracyi widzimy prześliczny, malutki jachcik, płynący kanałem korynckim do Aten. Jacht skonstruowany według najnowszych systemów, i chociaż mały na pozór, zdolny jest stawić zwycięskie zawsze czoło burzom i nawałnicom, zdolny jest nawet przepłynąć ocean. A jego urządzenie wewnętrzne! Toż to nie kajuty na okręcie, ale lśniące od złota i purpury komnaty, istny raj ziemski w małej, stalowej łupinie. Jest to jacht miliardera amerykańskiego, znanego „króla stalowego“ Pierponta Morgana.

Morgan zapragnął zobaczyć igrzyska olimpijskie, wskrzeszone na nowo w stolicy starożytnej Hellady z mroków niepamięci. Przyjechał na igrzyská król angielski; dlaczegoby nie miał przyjechać król stalowy. Wybrał się więc w drogę własnym jachtem, jak przystało na bądźcobądź króla, choćby stalowego. I tak jacht, zrobiony w ziemi przemysłu i interesu znalazł się niespodziewanie na błękitnych wodach krainy poezyi, piękna, krainy bohaterów z pod Troi i Termopil. I płynie wspaniałym kanałem korynckim do stolicy Pallady.

Bodaj to być miliarderem amerykańskim!

Wybory we Włocławku.

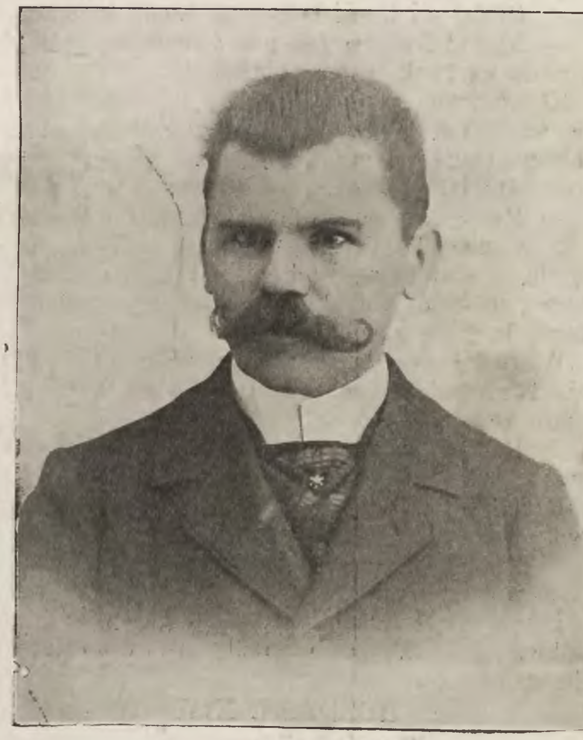
Dnie 21 i 22 kwietnia r. b. długo zostaną w pamięci mieszkańców Włocławka. — Były to dnie wyborów trzech delegatów na posłów do Izby państwowej. Były to dnie walki narodowej demokracyi z postępową demokracyą.

Iść czy nie iść do urny wyborczej? To pytanie było stawiane już od pół roku. Narodowcy robili wiece, przekonywali, wyjaśniali potrzebę reprezentacyi polskiej w Izbie — postępowcy i socyaliści nawoływali do bojkotu. Żydzi i niemcy zachowywali się obojętnie, prywatnie oświadczając się przeciwko wyborom. Trwało tak prawie dotąd. Nagle przed tygodniem nastąpiła zmiana frontu w tej ostatniej grupie. — Idziemy na wybory! — Postawić swoich kandydatów! To były hasła, które na każdym kroku słyszano, a rezultatem tego było, że do kursującej już listy kandydatów demokracyi-narodowej na której widzieliśmy: księdza profesora Mańkiewicza, adwokata B. Domaszewicza i sędziego A. Górskiego, przybyły plakaty z kandydatami kompromisowymi: Żydów, Niemców i postępowej demokracyi nawołujące do wyboru ich kandydatów: Dra Kraszewskiego, W. Ahimowicza i J. Lewińskiego. Przyszedł dzień wyborów. Zakotłowało się. Zapisani na listę wyborców stawili się w ogromnej ilości, bo przeszło 60 procent. Agitacya rozwinięta w całej pełni. Karty wyborcze od stronnictw i grup rozdawane obficie. Zjawiła się nowa grupa, która do poprzedniej listy kompromisowej dodała prezesa Wzajemnego Kredytu L. Bauera. — Magistrat przepełniony, na ulicy stoją tłumy zacietrzewione, roznamiętnione. Jedni drugim wręczają swoje karty wyborcze, a stąd nieporozumienie, darcie tych kart, etc. Kto zwycięży? Narodowcy — mowią jedni — są licznie zorganizowani. — Postępowcy — krzyczą drudzy — bo pójdą w zwartych szeregach.

Nastąpiła niedziela i obliczenie głosów. Ciekawi cisną się do magistratu. Wracają wciąż bez rezultatu, lecz w przeczuciu, że demokraci-narodowi wezmą górę, aż nareszcie około szóstej wieczorem, ogłoszono listę głosów. Wybrano imponującą większością demokratów-narodowych: Ks. J. Mańkiewicza 2507 głosów, B. Domaszewicza 2504 głosów i A. Górskiego 2475 głosów. Kandydaci kompromisowi odebrali: W. Ahimowicz 728 głosów, J. Lewiński 708 głosów, L. Bauer 644 głosów i Dr. W. Kraszewski 97 głosów. Głosy oddane wszystkim tym kandydatom łącznie wynoszą 2177, mniej na kilka setek od pojedynczych głosów kandydatów narodowych. To można nazwać „walnem zwycięstwem“. *Wasz.*

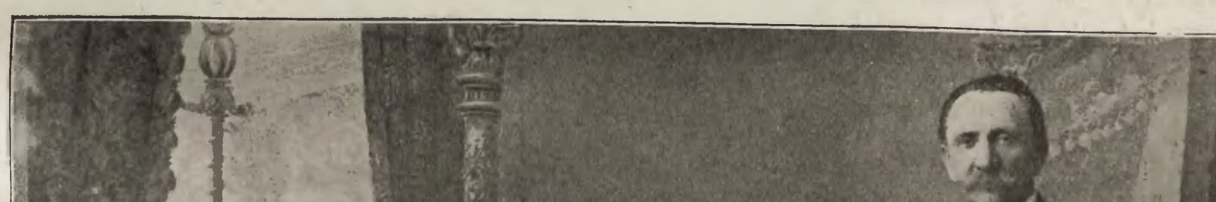
* * *

Załączana tu umyślnie dla nas zdjęta przez p. Adama Kaszubskiego we Włocławku fotografia przedstawia trzech wybranych delegatów: B. Domaszewicza, księdza J. Mańkiewicza i A. Górskiego,



Wybory posłów w Warszawie: Adwokat Franciszek Nowodworski, wybrany dnia 3-go maja posłem miasta Warszawy do Dumy państwowej.
(Do illustracyi na stronie 14).

zwycięskich kandydatów narodowej demokracyi którzy wybiorą swojego mandanta z Włocławka do Dumy państwowej.



Fot. dla „Nowości Illustr“. Adam Kaszubski we Włocławku.
Wybory we Włocławku: Wybrani imponującą większością kandydaci stronnictwa demokratyczno- narodowego B. Domaszewicz, ks. Jan Mańkiewicz i A. Górski.

Zbrodnia za zbrodnią

Sensacyjna powieść kryminalna.

8 Przerobił J. R. Ciąg dalszy.

— Uważaj, dziewczyno! — zawołał, sycząc z gniewu — broń może wypalić!

— I wypali z pewnością, jeśli się pan raz jeszcze odważysz dotknąć mnie! — wyrzekła ostatkiem sił Erna.

— Oddaj mi broń! Oddaj mi broń, kobieto!

— Nigdy! Kulę w łeb pan dostaniesz, jeśli się ku mnie na krok jeszcze zbliżysz!

Klown zmierzył ją wściekłym, od żądzy płonącym wzrokiem. Widząc ją bowiem tak stanowczą, z błyszczącemi od gniewu oczyma, musiał jej jeszcze bardziej pożądać.

— Muszę cię posiąść! — syknął. — Powrócę tu za godzinę. Zastanów się zatem, kobieto, proszę cię, zastanów się dobrze, co masz robić, bo inaczej, do kroćset dyabłów, spełnię moje polecenie i zamorduję cię z zimną krwią!

Wyglądał straszliwie, tak, że się go można było bać. Erna jednak zebrała ostatek sił i odparła stanowczo:

— Raczej śmierć, niż hańba w ramionach łotra!

Rzucił jej w odpowiedzi ordynarne przekleństwo.

— Zaczekaj! — groził — za godzinę będziesz już mówić inaczej!

Potem wziął lampę, zatrzasnął gniewnie drzwi, zamknął je i zbiegł wściekły po drewnianych schodach.

ROZDZIAŁ XIV.
W poświetli księżyca.

— Otworzyłeś też zasuwę od rzeki, Robercie, żeby trupa tego szpicla woda wyniosła? — zapytała syna stara Wildingowa, kiedy oboje szli na górę.

— Wiesz o tem, matko, że połowicznie niczego nie robię — odparł jakiś męski, a niezwykle miękki głos — ale naraz mężczyzna urwał i stanął, nasłuchując na ciemnych schodach.

— Robercie! — Robercie! — Robercie! — Jestem tutaj! Pójdź! Ratuj mnie! — brzmiał jakiś rozpaczliwy jęk po całym domu.

— Któż to jest? — zapytał ostro.

— Ach, nic nadzwyczajnego. Chodź na górę. Jeden z moich znajomych zamknął w piwnicy swoją kochankę. Zapłaci on mi dobrze za moje milczenie.

— Tak — odparł syn spokojnie — no, no, tylko uważaj, żeby cię nie złapali, kuplerstwo bowiem karzą strasznie ostro!

Doszli wreszcie na górę do pokoju, zajmowanego przez Wildingową, która zaraz za sobą drzwi zamknęła.

— No, ten pies obrzydły, ten szpicel — zaczęła stara — jest już nieszkodliwy. Już on nikogo nie wsadzi do kryminału. Teraz, mój chłopcze, teraz możesz odemnie żądać, czego chcesz — i zmierzyła badawczem spojrzeniem swego rosłego syna.

— Wyglądasz elegancko — ciągnęła dalej — akurat jak jaki hrabia albo książę. Musi ci się nie źle powodzić. Ale gdzieżeś to tak długo się ukrywał? Miałam porządnego stracha, kiedym dzisiaj rano otrzymała twój list. Jakżeż się ma twoja żona, córka pastora?

— Otóż to właśnie, matko — odparł Robert — uwolniłem się wreszcie od tej baby. Zawadzała mi poprostu, jak kula u nogi, w mojem dążeniu do szczęścia.

Stara skinęła głową.

— Mówiłam ci to już dawno, że to nie dla ciebie żona. Tyś skończył szkoły, jesteś inżynierem, mogłeś się był bogato ożenić.

— Na rany Boskie, nie róbcie mi wyrzutów — wybuchnął syn — nie po to do ciebie przyszedłem. Chciałem, byś mi pomogła, żebym się od Małgorzaty zupełnie uwolnił. Bo ona wisi wciąż przy mnie i może mi zepsuć całą świetną przyszłość, jaka mi się uśmiecha.

— Łatwo to powiedzieć — wtrąciła matka — dobrowolnie ona cię nie opuści.

— No, jeżeli nie chce, to — musi! — krzyknął Robert, i spojrzał na nią wiele mówiącym wzrokiem.

Stara wzrok ten zrozumiała, bo skinęła głową.

— Tak; ale gdzież ona właściwie jest?

— Przyjął ją razem z dzieckiem niejaki doktór Stürmer, który z pewnością chce ją studyować, boć, jak wiesz, Małgorzata jest lunatyczką. Ba, ale w tem właśnie sęk. W jasnowidzeniu, jakiemu nieraz ulega, może się wygadać z rzeczami, które mi mogą w piekielny sposób zaszkodzić.

— Wychodzi ona jeszcze ciągle na dach do księżyca?

Syn wpatrzył się na chwilę w zwiędłą, brzydką twarz swojej matki, jakby mu nagle jakaś myśl przyszła do głowy.

— Matko! — rzekł nagle, a blade jego oblicze pokryło się rumieńcem — na wędrówkach Małgorzaty do księżyca da się coś obmyśleć. Wiesz, o czem mówię?

Stara wiedźma potrząsła siwą głową.

— Słyszałaś pewnie, że lunatyczki chodzą po najbardziej stromych dachach, a nawet po gzymsach, jakby po równym bruku?

— To wiem, jeno nie można na nich wołać, bo zaraz spadają — odparła stara Wildingowa i wpatrzyła się w twarz syna, okoloną złym, dziwnie złym uśmiechem.

— Jeszcze nie wiesz, o czem myślę? — zapytał Robert, a widząc, że matka patrzy nań ciągle, nie rozumiejąc go, schylił się i zaczął jej coś szeptać do ucha, tak, że tylko ona słyszeć go mogła.

Oczy starej nabrały błysku.

— Juści masz racyę — odparła również szeptem — jest to jedyny sposób usunięcia jej z twojej drogi. Potem ci już nie będzie mogła szkodzić, a jeśli ją kiedy znajdą nieżywą na ulicy, to się przecie nas czepiać nie będą; bo skądże my mamy wiedzieć, po co ona w nocy chodzi po dachach.

— Dobrześ mnie zrozumiała? — zapytał syn raz jeszcze — dzisiaj właśnie jest noc księżycowa, możesz więc dzisiaj odrazu przejść się i zobaczyć, czy na dachu domu doktora Stürmera nie ujrzysz jakiej białej postaci. Ale ja już muszę odejść, matko; spisz się dobrze, a dam ci ładną paczkę niebieskich banknotów w nagrodę!

— Nie bój się, już ja się dobrze sprawię, bądź przekonany! Ale, ale; gdzież ty właściwie mieszkasz? Bo chciałabym ci zaraz donieść na wypadek, gdyby mi się odrazu tej nocy poszczęściło.

— O tem potem; do mnie nie potrzebujesz chodzić — odparł żywo syn — ja tu sam przyjdę jutro rano, a zresztą, gdybym nawet nie przyszedł, to przeczytałbym o tem wieczór w „Localanzeiger'ze“, bo przecież to będzie sensacyjny wypadek i gazeciarze skwapliwie z niego skorzystają.

Rozśmiał się jakimś suchym, bezdźwięcznym śmiechem, ale wkrótce potem westchnął i rzekł cicho:

— Gdyby to tylko już było gotowe, to szczęściu memu nic na drodze nie stoi.

Zdjął ze ściany swoje wspaniałe sobolowe futro, włożył je na siebie i pożegnał się z matką, raz jeszcze gorąco jej przypominając, co ma zrobić.

. . . .

Pozostawmy łotrowską parę, dybiącą na życie zdradzonej i nieszczęśliwej kobiety.

Małgorzata Wilding siedziała tego dnia wraz z synem w miłym pokoiku w mieszkaniu Stürmerów. Doktór wyjechał do swoich pacyentów i poruczył ją szczególniejszej opiece matki, biedaczka miała więc razem z dzieckiem wszystko, czego tylko pragnąć można.

Od owego wieczora, kiedy to przepowiedziała uprowadzenie młodej hrabiny, nie zapadła już więcej w stan jasnowidzenia. Kiedy jej zaś mówiono, że przepowiedziała prawdę, potrząsła głową, nie rozumiejąc, o czem mówią.

— Nie wiem o niczem! — rzekła zdziwiona.

Starej pani Stürmer, matce doktora, opowiedziała swą dolę nieszczęsną i tak ją wzruszyła, że poczciwina ofiarowała jej swój dom na stałe mieszkanie.

— Może pani u mnie pozostać! — mówiła do niej Stürmerowa — razem z dzieckiem. Tak tego boba polubiłam, że przykroby mi było, gdybym go straciła. Widzi pani, ja także niegdyś miałam córeczkę; umarło mi biedactwo na tyfus. Na imię jej było Małgosia i gdyby była żyła, to byłaby w tymsamym dzisiaj wieku, co pani. Tak, moja pani Wilding; kiedy tu pani naprzeciw mnie siedzi, to zawsze myślę sobie o tem, że tak musiałaby wyglądać moja Małgosia, która w trzeciej wiośnie życia musiałam już pochować.

Spojrzała swemi staremi, poczciwemi oczyma, które się łzami zrosiły, na panią Wilding i odłożywszy pończochę, aby sobie oczy obetrzeć, ciągnęła dalej głosem, tamowanym przez łzy:

Widzi pani, wtedy i ja skarżyłam się na Pana Boga. Załamywałam ręce z bólu za tem niewinnem stworzeniem, płakałam gorzkiemi łzami, ale to nic nie pomogło. Bóg chciał inaczej. A kiedy potem moją Małgosię kładziono do trumienki, zdawało mi się, że i mnie muszą pogrzebać. Co ja się wtedy napłakałam, rozchorowałam się z tego i byłabym może na życie własne się targnęła, gdyby nie stara Hanna, ówczesna nasza służąca, która mi wtedy przyniosła mego Adolfa — siedm lat miał już chłopczyna. Poczciwa Hanna rzekła do mnie:

— Niechno się pani popatrzy na malca, jak biedaczysko zmizerniał, bo się mama o niego nie troszczy. Calutki dzień siedział chłopczyna w śniegu na grobie Małgosi; moja pani, jak pani tak dalej płakać będzie, to pani wnet synka obok córki pogrzebie.

Słowa te odniosły skutek. Opanowałam się i oddałam wyłącznie synowi, którego teraz podwójnie kochałam. Ale zupełnie o tem zapomnieć nie mogłam, w sercu pozostała krwawa rana — a pani, pani Małgorzato, pani mi może córkę zastąpić — niech pani u mnie z dzieckiem zostanie, niech pani będzie jasnością ostatków dni moich!

Łkając, rzuciła się Małgorzata Wilding do nóg starowiny i ucałowała jej piękną jeszcze zawsze rękę. Tak do niej od dawna nikt nie mówił. Od czasu ostatniej rozmowy ze swoim ojcem nie słyszała nigdy od nikogo dobrego słowa i to ją bolało.

— Jakże mam pani podziękować za tyle miłości, pani Stürmer! — mówiła, płacząc, a łzy jej ciurkiem spadały na dłoń starowiny, która jak matka prawdziwa gładziła dłonią jej czarne, miękkie włosy, potem łagodnie ją podniosła ze ziemi i złożyła na bladem jej czole macierzyński pocałunek.

— Wszystko będzie dobrze — rzekła do niej — zostanie pani u mnie, a Fredziu także — nie prawda, kociaku? — i pochyliła się ku malcowi, który jej się odrazu rzucił na szyję.

— O tak, moja ciociu, będę zawsze bardzo grzeczny — zawołał, a buziaki jego zarumieniły się z radości.

— W małżeństwie ciągnęła dalej pani Stürmer — nie zawsze można znaleźć szczęście. Prawdopodobnie podoba się pani u nas, pani Małgorzato; gdyby jednak pan Bóg powołał kiedy do siebie opiekunkę pani, to, niech mi pani wierzy, nie pozostanie pani i tak bez opieki, bo o tych, których kocham, nie zapomnę nawet po śmierci.

Kiedy wieczór Małgorzata Wilding złożyła ręce do modlitwy, dziękowała z całego serca Panu nad Pany, że dał jej tak bezpieczne schronienie i wplotła w swoją modlitwę jeszcze jedno nazwisko — nazwisko pani Stürmer, dla której o wszystko dobre prosiła.

Noc była ciemna, na niebie nie było ani jednej gwiazdki, więc pani Stürmer mogła spokojnie udać się na spoczynek. Pochyliła się raz jeszcze nad śpiącą Małgorzatą, a widząc jej bladą twarzyczkę, na której przebyte cierpienia wypisały już ślad bruzd, szepnęła, głaszcząc ją czule po czarnych włosach:

— Biedne, biedne dziecko!

Błogi błysk przebiegł po obliczu śpiącej, a z ust jej wyrwały się słowa:

— Boże, jakże ja ci dziękuję za to, żem tu znalazła przytułek u pani Stürmer!

Na palcach odsunęła się matka doktora od łóżka śpiącej, a łzy zabłysły w jej oczach. Zaraz potem i sama udała się na spoczynek, a po chwili regularny jej oddech świadczył, że śpi już spokojnie.

Upłynęła może godzina, a na polu nieco się rozjaśniło. Tu i ówdzie wykwitła na niebiosach gwiazda, a z poza ciemnej opony chmur wychodził powoli księżyc. Srebrna jego tarcza wznosiła się coraz wyżej, zlewając srebrną poświetl na śnem otuloną ziemię. Promienie jej wdarły się i do sypialni Stürmerów i jak psotne bożki snu wiły się po twarzach obydwóch kobiet.

Panią Stürmer, która dla czuwania nad Małgorzatą, spała z nią w jednym pokoju, podrażniło zielonawe światło, ale nie obudziła się; poruszyła się tylko i odwróciła twarzą do ściany. Nie zauważyła więc, że Małgorzata zwolna się podniosła na łóżku i otwartemi szeroko oczyma, jakby pełnemi zachwytu, wpatrzyła się w błyszczącą, okrągłą tarczę miesiąca.

Bez szelestu zeszła z łóżka i zwróciła się do okna, mając wzrok ciągle utkwiony w księżycu.

— Idę! — rzekła cicho, a głos jej brzmiał jakoś dziwnie — potem otworzyła drzwi od balkonu i szła, jakby mechanicznie, na werandę. Wsparła się na żelaznem obramowaniu balkonu i nieprzerwanie patrzyła w księżyc. Później prze-

chyliła się na drewniany gzyms i szła po nim tak pewnie, jakby po równym bruku. Jeden fałszywy krok — a runie i roztrzaska się na kamieniach ulicy.

Doszła do słupa, podpierającego wyżej położony balkon i zręcznie jak kot wyszła po nim na balkon trzeciego piętra, a stamtąd po rynnie na dach. Stanęła na samym skraju dachu i opuściwszy bezwładnie ręce zapatrzyła się znowu w przyjaźnie uśmiechniętą twarz księżyca. Zaczęła szeptać jakieś niezrozumiałe wyrazy i równym krokiem sunęła po stromym prawie dachu, nie zachwiawszy się nawet.

Jakże łatwo mogło się zdarzyć, że trafi na rynnę zepsutą i spadnie! Za minutę ciało jej byłoby leżało w zbitej masie na ziemi!

Doszła na dach drugiego domu i biegnie dalej, wciąż za blaskiem księżyca, który się wznosi coraz wyżej. Tak przeszła może przez pięć domów, aż doszła do budynku, podobnego do willi. Z domem tym nie łączy się żaden inny, bo następny stoi już w oddaleniu kilkudziesięciu metrów. Jeżeli nieszczęśliwa tego nie spostrzeże, to za chwilę będzie już trupem, bo runie w ciemną przepaść.

Skrzyżowała teraz ręce na piersiach. Biała jej nocna koszula lśni złowrogo w poświetli księżyca; długie, czarne włosy rozwiały się jej po ramionach — wygląda jak upiór, który w grobie spokoju znaleźć nie może.

Już doszła na skraj dachu — już spojrzała w ciemną głąb — chwila jeszcze — a runie. Wtem! — Wielki Boże, miej ją w swojej opiece! — teraz musi spaść! Już! Już! — Ale nie. Schyliła się, czepia się rynny, schodzi na gzyms i sunie po nim ze zręcznością i szaloną śmiałością, która musi krew wzburzyć w każdym, co na to patrzy.

Czy to był przypadek, czy też może świadomy cel, dosyć, że lunatyczka dostała się aż na gzyms pałacu Solmsów i stanęła przed oknem sypialnej komnaty.

Do wspaniałej sypialni hrabiego Pardny spływała potokiem jasna świetl księżycowa. Naraz w oknie pojawił się cień jakiś, tak silny, że hrabia musiał się przebudzić, bo podniósł się na łóżku i jak odrętwiały wpatrzył się w białą postać kobiecą, przechodzącą po gzymsie okna.

— Ilono! krzyknął — Ilono!

Na drugiem łóżku ukazała się prześliczna główka kobieca wśród puchowych poduszek, okolona jaśniącą aureolą złotych, płomiennym żarem dyszących włosów.

— Jakżeś mnie przestraszył, Robercie! — zawołała — cóż się stało?

— Widziałaś ją? — bełkotał hrabia, blady, jak trup.

— Kogo? — odparła, a zimny dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

— Kobietę w białej nocnej bieliźnie — wykrztusił — była tu przed oknem — sądziłem z początku, że śnię — ale widziałem ją przecież całkiem dokładnie, jak przesunęła się przed oknem.

— Ach, głupstwo — starała się go uspokoić piękna Ilona — gdyby była przeszła po gzymsie, to musiałaby była spaść do ogrodu — przecież nikt nie jest taki głupi, żeby spadał z pierwszego piętra na ziemię.

— Ale ja dokładnie widziałem całą postać, Ilono — rzekł cichutko — i oglądnął się trwożliwie wokoło — czy sądzisz, że umarli mogą jeszcze chodzić po świecie?

Wyskoczyła szybko z łóżka i spuściła gęstą roletę.

— Ha — wstrząsła się i usiadła przy nim na łóżku — ale też ty możesz człowieka strachu nabawić! Kto umarł, ten już nie wstanie, a duchów niema na świecie.

— Ale gdyby Erna, moja żona, którą ty zabić kazałaś, nie mogła w grobie znaleźć spokoju? — wtrącił Robert.

— Nie bądźże taki głupi — burknęła — co się stało, to się nie odstanie; a może już żałujesz, że zgodziłeś się dawniej na mój plan?

— Musiałem się nań zgodzić — odparł ponuro. — Kiedy w dniu, w którym moja żona tak nagle znikła, przyszłaś do mnie i powiedziałaś, że będziesz uchodzić za hrabinę Ernę Pardua, córkę radczyni Solms, aby uratować dla nas jej majątek, stałaś się dla mnie naraz opatrznościowym aniołem, bo mój własny majątek równa się zeru — straciłem wszystko — przegrałem. Kiedyś mi jednak powiedziała, że moja żona umarła, że została zamordowaną — opanował mnie wściekły gniew — znienawidziłem cię, chociaż cię tak płomiennie kochałem!

— Ależ Robercie — rzekła Ilona — po jakiego licha zajmujesz się w nocy sprawami, które już dawno zostały załatwione? Obecnie jestem przecież hrabiną Erną Pardua; służbę, która znała twoją żonę, odprawiliśmy natychmiast; jutro zresztą wyjedziemy do Francyi i nie wrócimy już nigdy do Niemiec. A może ty mnie już nie kochasz? Może wolałbyś Ernę, aniżeli mnie? — dodała groźnie, a oczy zabłysły jej demonicznym blaskiem.

Podniósł się i objął ją ramieniem.

— Jak ja cię kocham, o tem wiesz nadto dobrze, piękna czarodziejko — rzekł. — Że poślubiłem Ernę Solms jedynie dla jej majątku, to możesz mi wierzyć, bo przecież ona nie może iść w porównanie z twoją szatańską, zaiste, pięknością. Ale jutro musimy odjechać. — Zanadto mi tu nieswojsko, nie dobrze w tym domu!

— W Paryżu znikną troski i kłopoty — odparła śmiejąc się — i cieszy mnie to niewymownie, że właśnie przy twoim boku będę mogła zażywać rozkoszy życia — kończyła, tuląc się do niego miłośnie.

Zamknął jej usta płomiennym pocałunkiem, który przedłużał się w nieskończoność. Naraz usta ich rozerwał przeraźliwy krzyk, krzyk śmiertelny, jaki może wydać jedynie konająca istota, krzyk, który się przedarł aż do ich sypialni i krew im zmroził w żyłach.



...podniósł się na łóżku i jak odrętwiały wpatrzył się w białą postać kobiecą, przechodzącą po gzymsie okna...

. . . .

Lunatyczka dostała się znowu z gzymsu na dach i wracała tą samą drogą, którą przyszła. Twarz jej blada była bladością trupa, oczy błyszczały nadziemskim blaskiem, skrzyżowane na piersiach ręce były bezwładne, jakby z białego wykute marmuru. Patrzała w jaśniejącą tarczę księżyca, nie wiedząc, zdaje się, o niczem, co ją otaczało.

Na dole, po ciemnej, pustej ulicy przechadzała się stara wiedźma, śledząc oczyma każdy ruch lunatyczki i nie spuszczając z niej wzroku.

Była to stara Wildingowa, właścicielka strasznego młyna, która, jak tylko księżyc zeszedł, pośpieszyła ku domowi doktora Stürmera, który jej syn dokładnie opisał.

Czekała już może z godzinę nadaremnie, aż nagle z piersi jej wydarł się głuchy krzyk — przestraszyła się sama, kiedy naraz ujrzała białą, do upiora podobną postać, wspinającą się po rynnie na dach. Ale opamiętała się wkrótce i śledziła oczyma każdy krok nieszczęśliwej żony swego syna.

Już kilka razy postanawiała zawołać na nią, nagle ujrzała, że lunatyczka stanęła na dachu narożnego domu.

— No, teraz z pewnością spadnie na ulicę — mruknęła — a w takim razie ja nawet zupełnie nie będę winna jej śmierci.

Pomyliła się jednak, bo lunatyczka zeszła z dachu po rynnie na gzyms pierwszego piętra pałacu Solmsów, zanim stara zdołała ocknąć się z przerażenia.

— Mogłabym sobie dać po gębie, żem opuściła taką cudowną sposobność sprzątnięcia jej ze świata; djabli wiedzą, czy ona się teraz wróci!

Niezadowolona ze siebie stanęła i czekała, kiedy lunatyczka będzie wracać. Nadzieje jej nie zawiodły, bo nie upłynęło dziesięć minut, kiedy nieszczęśliwa znowu wspięła się na dach i rozpoczęła dalszą nocną wędrówkę.

Jednak tej wiedźmie starej dom, na którym znajdowała się Małgorzata, wydał się za niski. Chciała bowiem zawołać na nią wtedy dopiero, kiedy biedna lunatyczka znajdzie się na dachu najwyższego budynku.

Cisza panowała na ulicy, śmiertelna cisza. Mieszkańcy od dawna już z pewnością spali spokojnie i śnili rozkosznie, nie przeczuwając nawet, że ponad ich głowami unosi się postać niewieścia, której lada chwila grozi śmierć.

Wtem na drugim końcu ulicy ukazał się jakiś mężczyzna.

Był to doktór Stürmer, który wracał właśnie od chorego. Mimowolnie, idąc ulicą, spojrzał w górę i stanął, jak skamieniały. Zobaczył bowiem białe widmo, idące po dachu.

— Jezus, Marya! — zawołał — lunatyczka! — i poszedł w głąb ulicy, nie wiedząc, w jaki sposób mógłby nieszczęśliwej przyjść z pomocą.

Dopiero teraz zauważył starą wiedźmę, która z nieszczęśliwej Małgorzaty oka nie spuszczała.

— Wielki Boże — szeptał doktor — żeby jeno ta wiedźma nie zawołała przypadkiem na nieszczęśliwą, bo biedaczka runęłaby zaraz na bruk!

Naraz — serce mu bić prawie przestało — zobaczył, że stara powiewa chustką, jak gdyby chciała zwrócić na siebie uwagę lunatyczki, zobaczył, że ma ochotę zawołać na nieszczęśliwą — a on nie mógł temu przeszkodzić.

daleko. Tchu mu zabrakło w piersiach.

— Milcz, kobieto! — zawołał ochrypłym głosem — ale już zapóźno.

Stara wiedźma złożyła ręce w trąbkę i zawołała, aż się echem rozbiegł głos po całej ulicy:

— Małgorzato Wilding! Małgorzato Wilding!

W tej chwili spostrzegł, że lunatyczka, jakby na jakiś dziwny rozkaz, stanęła, spojrzała w ciemną głąb, pod nią rozpostartą, wtem — wielki Boże! — wyciągła ręce przed siebie, jakby szukając oparcia, zachwiała się i straszny, bólem i rozpaczą drżący krzyk, wydarł się z jej piersi i popłynął jak grom nad ulicą — — — i teraz młody lekarz ujrzał, jak białe widmo pochyliło się, a z krzykiem nieszczęśliwej zmięszał się szatański śmiech starej.

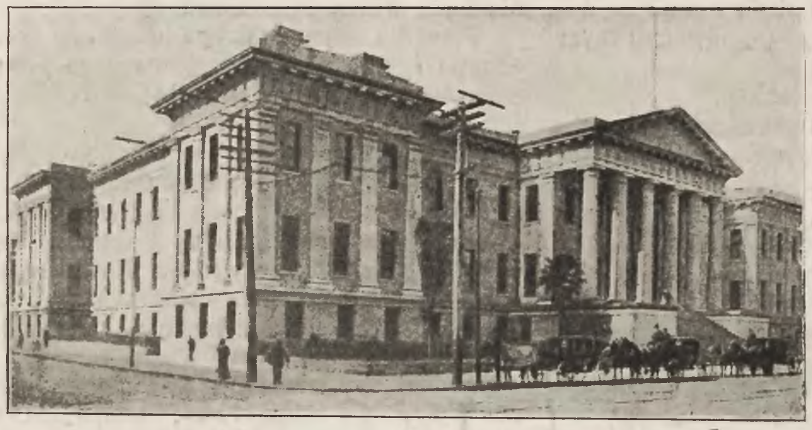
Jednym krokiem znalazł się Stürmer przy wiedźmie i chwycił ją za ramiona.

ROZDZIAŁ XV.

Ucieczka ze strasznego młyna.

Z krzykiem odpadła Erna od drzwi, które się nagle do jej izdebki otworzyły. Nie przyszedł, jak się spodziewała jej mąż, aby ją ratować, ale zjawił się jej kat, Jan Barrison. W ręce trzymał ostry, błyszczący sztylet. (C. d. n.)

Jak wyglądało zniszczone dziś San Francisco.



Mennica państwa, której z trudem broniło wojsko w czasie katastrofy przed zamachami rabusiów, przyczem z obu stron zastrzelono wielu ludzi.



„California Street“ zburzona trzęsieniem ziemi, najwspanialsza dzielnica milionerów.



Zniszczony w katastrofie wielki hotel Baldwin.



W gruzach dziś leżący jeden z drapaczów nieba.



Niesłychanie kosztowny pałac, stanowiący rezydencyę Karola Crockera.



Katedra i kolegium św. Ignacego, gdzie w czasie trzęsienia ziemi śmierć znalazło w gruzach kilkuset Polaków.



Często w depeszach o szczegółach katastrofy powtarzany „Union Square Park“ z piękną kolumną, pomnikiem Unii.



Olbrzymia hala Oddfellowa, która również w czasie trzęsienia ziemi padła ofiarą katastrofy.



Wspaniała perspektywa z narożnika dwóch wielkich ulic: Kearny Street (na lewo) i Market Street (na prawo) z olbrzymim gmachem „Chronicle Building“ pośrodku.



Doszczętnie dziś zniszczony trzęsieniem ziemi i pożogą, olbrzymi hotel „Palace“, który miał przeszło 800 mieszkań, o nieraz około 2000 lokatorów.

Wyborcy i posłowie miasta Warszawy.



Pamiątkowe zdjęcie artystycznego zakładu fotograficznego L. Kowalskiego w Warszawie.

Wybory posłów warszawskich: Podejmowani gościnnie przez druhów-cyklistów na Dynasach w Warszawie w dniu 3-go maja 1906 roku, po wyborze w Ratuszu, nowi posłowie miasta Warszawy do Dumy państwowej w Petersburgu, adwokat przysięgły a były redaktor „Kuryera Warszawskiego“, Franciszek Nowodworski i Władysław hrabia Tyszkiewicz, oraz ich wyborcy, wśród których między innymi znajdują się: Henryk Sienkiewicz, redaktor Stanisław Libicki, prezes komisyj wyborczych mecenas Stanisław Kijeński, ksiądz Jan Gralewski, ksiądz Gąsiorowski, adwokaci Siemiradzki i Dziewulski, dr. Bolesław Jakimiak, prezes Tow. kredyt. Al. Makowiecki, prezes Kasy Literackiej Adolf Święcicki itd.



Fotografował W. Lis.
Święto narodowe: W dniu Trzeciego Maja w Krakowie panie przy stolikach T. S. L. na plantach zbierają grosz na dar narodowy.



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr.“; aparatem redakcyjnym fot W. Lis.
Święto narodowe: Obchód rocznicy 3 maja w Krakowie: fragment pochodu na Wawel: mieszczaństwo krakowskie z wieńcem na grób Kościuszki.

Z San-Francisco.

W chwili niebezpieczeństwa i klęski, najlepiej uwydatnia się hartowność społeczeństwa, a tę hartowność ogół amerykański wykazał przy sposobności katastrofy w San Francisco w najwyższym stopniu. Do tygodnia wysokość składek i zasiłków dla dotkniętych trzęsieniem ziemi wyniosła 37 milionów franków, ale o wiele wybitniejszym dowodem owej hartowności, jest samo zachowanie się ludności w San Francisco. Ład i porządek jest wzorowy, trzy czwarte mieszkańców pracuje nad zniesieniem ogólnej nędzy, a zaledwie jedna czwarta jest leniwych i niezadowolonych ze wszystkiego.

Ludności dano radę, aby się rozdzieliła po gminach okolicznych. W tym celu pociągi wywoziły bezpłatnie mieszkańców, ale raz wydostawszy się po za miasto, nie mogli oni powrócić bez osobnej przepustki. Jednakże miejscowości okoliczne są przepełnione; równo cztery piąte części San Francisca są zniszczone, a 250.000 osób na każdy sposób zostało bez dachu; obozują pod gołem niebem lub pod namiotami.

W tem obozowisku codziennie przychodzą dzieci na świat, urządzono więc drobne szpitale polowe, gdzie matki i żony otrzymują odpowiednią opiekę.

Wszędzie na gruzach miasta rozpoczęła się gorączkowa czynność, uczucia jednak religijne są tak mocno wkorzenione w rasie anglo saksońskiej, że kiedy nadeszła niedziela, wszystko stanęło i nad gruzami zapanowała martwość niedzieli angielskiej i amerykańskiej. Kaznodzieje prawili kazania pod gołem niebem lub na kupach gruzów, biorąc za punkt wyjścia słowa pisma św.: „W pełni życia pogrążeni zostaliśmy w śmierci“. Nigdy jeszcze tłumy zgromadzone pod gołem niebem nie były tak skupione i milczące.....

Trzeba przyznać, że „żołnierze armii zbawienia“ t. j. członkowie znanej religijno-moralnej sekty, są pomiędzy najczynniejszymi w nieszczęśliwem mieście. Więcej jednak od nich działali żołnierze, choć po drakońsku stosowali przepisy stanu wojennego, zawieszonego nad miastem. Lecz bez tego przy bujnej naturze amerykańskiej niepodobieństwem by było utrzymanie ładu. N. p. zastrzelono na miejscu dwa indywidua za zamach na wstydliwość kobiet.

Architekci amerykańscy wyciągnęli już odpowiednie nauki z ostatniego trzęsienia ziemi i zapowiadają, że potrafią zbudować miasto nietylko piękniejsze niż to, które dziś spoczywa w gruzach, ale nadto o murach, zdolnych oprzeć się wszelkim trzęsieniom ziemi.

Że humor i dowcip nawet w chwili największej katastrofy się przydadzą, przykładem jest przygoda słynnego autora Pietra Caruso. Uciekł on z hotelu podczas trzęsienia ziemi, mając zaledwo czas ubrać się i błąkał się po ulicach nie mając się gdzie przespać. Doszedł wreszcie do skweru Lafyaetta, ale tam gęsty kordon żołnierzy nie puścił go dalej.

Wtedy Caruso wydobył z kieszeni fotografię Roosevelta z własnoręcznym jego podpisem i pokazał ją oficerowi. „A! jeżeli pan jesteś przyjacielem naszego Teddy (Teodorka) proszę czuć się, jak u siebie“, rzekł oficer i puścił go do ogrodu, gdzie Caruso mógł się przespać na trawniku.

Święto narodowe.

Dawno już nie było w Krakowie tak imponującej manifestacyi patryotycznej, jak 3-go maja bieżącego roku. Pomimo niepogody, pomimo deszczu, który co chwila padał z zaciągniętego chmurami nieba, imponujące ilością zastępy publiczności wzięły udział w obchodzie 115 tej rocznicy wiekopomnej konstytucyi Trzeciego Maja. Wszyscy bez wyjątku, starzy, ludzie w sile wieku, młodzież i dziatwa obojga płci, nie zważając na nieprzychylną aurę, wyruszyli tłumnie na ulicę, by wziąć udział w obchodzie, który w sercach wszystkich pokrzepił niewygasłą mimo wiekowej niewoli gorącą wiarę w przyszłość lepszą, świetlaną w przyszłość, która zabłysła narodowi naszemu z chwilą kiedy w obecności króla, posłów i senatorów, wśród majestatycznej ciszy, jaka zaległa salę obrad sejmowych w Warszawie, marszałek Stanisław Małachowski odczytał postanowienie nowego pra-



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr.“; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Święto narodowe: Obchód rocznicy 3 maja w Krakowie: fragment pochodu na Wawel: stowarzyszenia rękodzielników krakowskich ze sztandarami, pośrodku „Gwiazda“.



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr."; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Święto narodowe: Obchód rocznicy 3 maja w Krakowie: fragment pochodu na Wawel: Straż ogniowa ochotnicza i „Harmonia".



Święto narodowe: Jak wyglądały ulice w Krakowie w dniu 3 maja; ul. Floryańska, przystrojona flagami; widok z pod kościoła Maryackiego ku bramie Floryańskiej.

wa, nazwanego „Konstytucyą Trzeciego Maja". Z domów i gmachów zwieszały się wspaniałe sztandary o barwach narodowych, na piersiach mężczyzn i kobiet widniały biało czerwone kokardki, jakiś nastrój uroczysty powiał nad grodem Krakusa, nad tą mogiłą narodowej przeszłości, kościołem narodowych pamiątek.

Obchód rozpoczął się uroczystem nabożeństwem w kościele N. P. Maryi o godzinie 11. Od samego rana już przeciągała ulicami orkiestra „Harmonia", grając pobudkę. O godzinie 10 pozamykano wszystkie sklepy, a Rynek zaczął się napełniać tłumami, które rosły z każdą chwilą, z każdą minutą. Przybywały stowarzyszenia, cechy, zaroiło się od polskich kontuszów, zaszumiały lasem chorągwie, a z wieży Maryackiej rozległ się hejnał, że nabożeństwo się zaczyna. Kościół był przepełniony. Uroczystą mszę św. odprawił ks. kanonik Krupiński, podniosłe kazanie wypowiedział znany kapłan patryota ks. kanonik Bandurski. Po skończeniu słów natchnionego kapłana i zaintonowaniu pieśni narodowej, fala ludu wylała się na Rynek. Ze szczytu wieży Maryackiej brzmią bez ustanku grane na trąbach pieśni narodowe, to rzewne tony chorału, to otuchę budzące dźwięki pieśni legionów, a przy muzyce jej tonów formuje się pochód olbrzymi, imponujący, barwny, podniosły. Wzdłuż południowej, zachodniej i północnej części Rynku publiczność stanęła zwartemi masami, tworząc szpaler, wśród którego postępował pochód. Skorzystały ze sposobności panie Tow. Szkoły ludowej i obchodząc z tacą publiczność, zbierały datki. Pochód prowadził prezes Koła mieszczańskiego p. Kosobucki w pięknym stroju polskim, z buzdyganem starszego cechu ślusarzy w ręku. Mistrzem ceremonii był p. Zatorski. Pochód otwierał pluton straży ogniowej miejskiej z rozwiniętym sztandarem pod komendą brandmistrza p. Flaszy. Dalej szła orkiestra „Harmonii", grająca pieśni narodowe, następnie uczenice różnych tutejszych zakładów naukowych, młodzież rękodzielnicza, seminaryum nauczycielskie męskie z gronem profesorów i ks. dyrektorem prałatem Bieleninem, wreszcie grupa młodzieży uniwersyteckiej.

Drugą tysięczną grupę otwierała amatorska orkiestra „Sokoła" pod kierownictwem p. Urygi. Za nią prezes Turski, wydział, a dalej oddział Sokolski w mundarach, pod sztandarem. Z mundurami sokolimi zlewają się w harmonijny ton sukmany włościańskie. Idzie zastęp włościan krakowskiej ziemi w białych sukmanach z czerwonemi i zielonemi „potrzebami"; między nimi członkowie krakowskiej Rady powiatowej. Dalej idą wetereni z r. 1863 ze sztandarem, kółko kontuszowe, wreszcie katolickie stowarzyszenia robotnicze ze sztandarami. Przed „Czytelnicze robotniczą im. Kilińskiego" panna w białej sukience niesie wieniec z biletami wizytowymi. Czytelnia wystąpiła imponująco pod względem liczby członków. Za nią idą niemniej liczni ze swym sztandarem rękodzielnicy, grupujący się w Stowarzyszeniu „Gwiazda". Zastęp ten zamyka klub maszynistów kolejowych.



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr."; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Święto narodowe: Obchód rocznicy Trzeciego Maja w Krakowie: pochód na Wawel: zakłady naukowe żeńskie.



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr."; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Święto narodowe: Obchód rocznicy 3 maja w Krakowie: fragment pochodu na Wawel: seminaryum żeńskie.



Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr."; aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.
Święto narodowe: Obchód rocznicy 3 maja w Krakowie: fragment pochodu na Wawel; Czytelnia robotnicza im. Kilińskiego z wieńcem.

Zbliża się centrum pochodu. Rozpoczyna je Koło mieszczańskie; na czele idzie jego deputacya, niosąca piękny wieniec, który ma być złożony na sarkofagu Kościuszki w grobach królewskich na Wawelu. Wieniec niesie majster ciesielski p. Bronisław Zieliński, szarfy trzymają majster brązowniczy p. Franciszek Kopaczyński i majster murarski, prezes „Gwiazdy" p. Tomasz Bujas. Magistrat m. Krakowa wystąpił w pełnym komplecie z dyrektorem Grodyńskim. Kilkadziesiąt chorągwi cechowych tworzy teraz długi szpaler; wśród szpaleru chorągwi idzie prezydent Dr Leo z wiceprezydentem Chylińskim i Radą miasta; za nimi starsi i podstarsi cechów krakowskich z pozłocistymi buzdyganami; niektórzy ze starszyzny w strojach polskich. Za sztandarami cechowymi szły znowu zastępy obywatelstwa różnych sfer, bardzo wiele pań.

Barwny ten wąż kończy się wspaniałym szeregiem młodzieży krakowskich szkół średnich, w mundurkach, czwórkami, pod wodzą komendantów, przy dźwiękach własnych orkiestr ze sztandarami.

Pochód obszedł naokoło cały Rynek, który przedstawiał jedno olbrzymie, barwne, ruchliwe morze głów i wśród żywego wieńca, jaki po bokach ulicy utworzyła publiczność, wszedł w ulicę Grodzką i przy dźwiękach kilku orkiestr, grających pieśni narodowe, przeszedł uroczyście na wzgórze wawelskie. Od bramy zdjął nasz fotograf cały ten pochód olbrzymi, dążący ku mogile królów, a zdjęcia zamieszczamy w dzisiejszym numerze. Wystarczy spojrzeć na nie, a staną nam odrazu przed oczyma tysiączne tłumy, idące we wzorowym porządku, przejęte powagą i nastrojem chwili.

Pochód zatrzymał się w dziedzińcu wawelskim przed świątynią. Tam z okna domu duchowieństwa katedralnego wypowiedział wspaniałą mowę docent Dr Kutrzeba, poczem deputacya udała się do grobów królewskich i złożyła wieniec na sarkofagu Kościuszki. Około godziny 2 zakończył się pochód.

Popołudniu urządziła osobno wielką manifestacyę patryotyczną młodzież szkół średnich krakowskich, o czem na innem miejscu piszemy obszerniej, objaśniając illustracyę tytułową, przedstawiającą właśnie imponujący pochód studentów do parku dra Jordana.



Zgon polskiego uczonego. Znakomity ludoznawca polski, śp. dr. Antoni Kalina, profesor uniwersytetu lwowskiego.

Wieczorem o godzinie 7-mej, młodzież szkół średnich męskich i żeńskich zebrała się pod pomnikiem Mickiewicza i tu złożywszy wieniec, po wygłoszonej mowie przez akad. Dąbrowskiego z Królestwa Polskiego, ruszyła pochodem pod „Drzewo Wolności". Na czele niesiono sztandar z orłem polskim, a wzdłuż całego pochodu kilkadziesiąt różnokolorowych lampionów. Z pod „Drzewa Wolności" młodzież udała się pod pomnik Rejtana a stąd na kamień Kościuszki. Tu odśpiewano kilka pieśni narodowych, poczem koło godziny 9-tej zakończyła się całodzienna uroczystość „Konstytucyi 3 Maja".



Fot. dla „Nowości Illustr." L. Kowalski w Warszawie.
Wybory posłów warszawskich: Brama tryumfalna na Dynasach, w siedzibie cyklistów na powitanie nowowybranych posłów Tyszkiewicza i Nowodworskiego.

Zgon polskiego uczonego.

Uniwersytet lwowski nie przebolał jeszcze straty swej chluby śp. prof. Romana Pilata, a oto znowu z szeregów jego członków przeniósł się do wieczności, niemniej od tamtego wybitny uczony, mąż głębokiej wiedzy i nauki, zasłużony nietylko na niwie pracy naukowej ale i publicznej, śp. prof. dr. Antoni Kalina (oto jego portret).

Urodzony w Księstwie Poznańskiem 1846 r. ukończył tam szkoły średnie, poczem studyował na uniwersytetach w Lipsku, Berlinie i Halli historyę i filologię. Po uzyskaniu na uniwersytecie w Halli stopnia doktora filozofii, odbył śp. Kalina cały szereg podróży naukowych po krajach słowiańskich, zapoznając się z językami słowiańskimi i studyując literaturę poszczególnych słowiańskich narodów. Zdobywszy na tej drodze nieocenione zasoby wiadomości, habilitował się na uniwersytecie we Lwowie jako docent filologii porównawczej języków słowiańskich. W r. 1888 został mianowany nadzwyczajnym a 1892 zwyczajnym profesorem

wymienionego wyżej przedmiotu i na tem stanowisku pracował z wielkim pożytkiem dla nauki polskiej, aż do ostatnich dni życia swego. W ciągu swej naukowej działalności napisał cały szereg rozpraw, artykułów i dzieł, które bądź wyszły w osobnym nakładzie, bądź zamieszczane były w naukowych czasopismach polskich i zagranicz-



Wybory posłów warszawskich: Hr. Tyszkiewicz na placu Teatralnym w drodze na wybory

nych. Zwłaszcza czasopismo „Lud“, organ Tow. ludoznawczego, drukowało bardzo wiele cennych jego prac. W uznaniu zasług na polu nauki został śp. Kalina mianowany członkiem krakowskiej Akademii Umiejętności, był też członkiem korespondentem Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu.

Bardzo żywą była też działalność śp. dr. Kaliny w życiu publicznem. Przez wiele lat stał na czele Tow. ludoznawczego, którego był założycielem, oraz Tow. nauczycieli szkół wyższych. Obie te godności złożył przed rokiem z powodu nadwątlonego stanu zdrowia. Zasiadał nadto w wydziałach kilku innych pożytecznych Tow., przeważnie humanitarnych Wszędzie zaś, czy stał na czele, czy w szeregu jako zwyczajny członek, oddawał się pracy z całą sumiennością i gorliwością. To też pracy tej jego towarzyszyło ogólne uznanie społeczeństwa, które umiało ocenić niepospolite zalety jego umysłu i serca. W przekonaniach swoich był śp. Kalina zawsze szczerym katolikiem a zwolennikiem prawdziwego postępu.

Cześć jego pamięci!

Wybory posłów warszawskich.

Pamiątkowa uroczystość Konstytucyi 3 Maja zeszła się dziwnem losów zrządzeniem z wyborem w tym samym dniu posłów z miasta Warszawy.

Więc zjednoczyła się przeszłość z teraźniejszością we wspólnem nabożeństwie solennem w katedrze św. Jana, tej samej, w której przed laty 115 król i posłowie zaprzysięgali akt konstytucyi: tej samej, która wśród echa dział polskich rozbrzmiewała wówczas dziękczynnym hymnem „Te Deum“; tej samej, w której teraz znalazły się tłumy publiczności z gronem wyborców na czele i z domyślnymi jeszcze wśród nich dwoma posłami.

Będąż nimi hr. Tyszkiewicz i adw. Nowodworski?

Z dziwnem uczuciem w sercu wybierał się na ten akt wyborczy hr. Tyszkiewicz, obarczony najniespodziewaniej w ostatniej niemal chwili ciężkim zarzutem z przeszłości.



Wybory posłów warszawskich: Przed bramą Ratusza po wyborze poseł Fr. Nowodworski przyjmuje powinszowania. (Fot. J. Mieczkowski).

Cisnął mu go przed całem polskiem społeczeństwem przewodnik zbankrutowanego stronnictwa „ugody“ z rządem, a nie z narodem rosyjskim, redaktor Straszewicz w „Kuryerze Polskim“.

Zarzut ciężki stawiał Tyszkiewicza pod sądem opinii za to, że przed laty złożył wieniec na trumnie gubernatora grodzieńskiego jen. Orżewskiego, srogiego pogromcy ludu katolickiego w Krożach.

Tyszkiewicz wprawdzie wyjaśnił pobudki swego błędu, ze wszech miar uczciwe, nakazane ówczesną dobą bezwzględnego prześladowania kościoła katolickiego i polskości na Litwie, gdzie miał majątek swój Landwarów. Z wielkim trudem i głównie z pomocą żony Orżewskiego wyjednał wówczas od tegoż pozwolenie na wzniesienie w Landwarowie kaplicy. Za tę cenę małżonka hr. Tyszkiewicza, pani Marya zdecydowała się pewnego razu uczynić zadość prośbie Orżewskiego i w salonie przed nim zaśpiewać! Takie były czasy... Więc wdowie po Orżewskim raczej przypadł ów wieniec złożony na trumnie jenerała przez hr. Tyszkiewicza za jej pomoc w otrzymaniu pozwolenia na kaplicę...

Choć ostrze ciężkiego zarzutu ugodowca Straszewicza zostało odparte, niemniej zachwiało to chwilowo opinią, a mogło zachwiać i zaufaniem wyborców, gdyby nie stanowili oni zwartej i przeważającej większości narodowej w liczbie 60 przeciw 20 wyborcom żydowskim. To też z naprężoną ciekawością wyczekiwała publiczność ostateczne go wyniku wyborów przed Ratuszem, a najniecierpliwiej wyczekiwali go u ciemnej, jak otwarta paszcza smoka, bramy ratuszowej przedstawiciele stronnictwa narodowo-demokratycznego.

Już wychodzą pierwsi wyborcy po ukończonem głosowaniu z wieścią radosną o wyborze obu kandydatów-narodowców, rośnie grupa ciekawych. Rozlegają się głosy: „Już idzie Tyszkiewicz“.

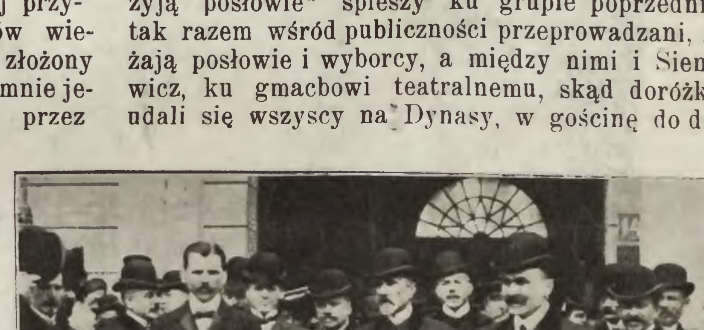
I oto formują się w szpaler, oczekujący żądni powitać nowoobranego 60 głosami posła m. Warszawy hr. Władysława Tyszkiewicza.

Idzie skromnie i z godnością uchyla kapelusza przed chwilą jeszcze pod brzemieniem zarzutu stojący, dziś publicznem zaufaniem i mandatem poselskim wynagrodzony.

Grono obywateli, otoczywszy posła, przeprowadza go placem Teatralnym, przezwanym po pamiętnej rzezi „Placem 4 listopada“. Jeszcze zwróceni za nim przeprowadzają go oczyma, kiedy u wylotu bramy nowy ścisk około drugiego wybrańca na posła. To adwokat Franciszek Nowodworski obrany 57 głosami, z radosnym, rozpromienionym wyrazem twarzy, z uchylonym kapeluszem w ręce wita się i uściskiem dłoni odwzajemnia życzenia. Wreszcie otoczony grupą wyborców z St. Libickim (który zrzekł się kandydatury) i prezesem komisyj wyborczych, adw. St. Kijeńskim na czele, jakoteż tłumem publiczności, wśród okrzyków „Niech żyją posłowie“ śpieszy ku grupie poprzedniej i tak razem wśród publiczności przeprowadzani, zdążają posłowie i wyborcy, a między nimi i Sienkiewicz, ku gmachowi teatralnemu, skąd dorożkami udali się wszyscy na Dynasy, w gościnę do dziel-



Wybory posłów warszawskich: Przed bramą Ratusza po wyborze poseł Wł. hr. Tyszkiewicz przyjmuje powinszowania. (Fot. J. Mieczkowski).



Wybory posłów warszawskich: Poseł Nowodworski wychodzi z Ratusza po wyborze, w towarzystwie St. Kijeńskiego i St. Libickiego.

nych cyklistów, u których wieczór swój przedjubileuszowy spędził przed laty kilku Sienkiewicz.
Na zarządzenie wiceprezesa p. Fertnera druhowie cykliści wlot zmobilizowali swe siły i u wejścia na Dynasy w godzinie jednej stanęła na powitanie „miłych gości“ z Sienkiewiczem na czele, brama tryumfalna, zbudowana z rowerów i przyrządów gimnastycznych, a przystrojona zielenią, z prześwitem przedstawiającem „Sokoła“ z odkrytą głową, z napisem u góry „Czołem“.



Polski teatr w Wilnie: Artysta sceny krakowskiej, Józef Popławski, który zostaje reżyserem teatru wileńskiego pod dyrekcyą N. Młodziejowskiej.

Ledwie bramę zdołano wykończyć i ustawić się przy niej, już nadciągnęło grono gości witanych gromkimi okrzykami „Czołem“ „Witajcie“, „Niech żyją posłowie“. Winszowano też sobie wzajem zwycięstwa, dzielono się wrażeniami z wyborów, poczem właściciel i kierownik art. zakładu fotograficznego p. L. Kowalski dokonał pamiątkowego zdjęcia pod gmachem klubu, które Czytelnikom „Nowości“ podajemy na ogromnej rycinie.
Wielka ta grupa stanowi „czoło Warszawy“ z Sienkiewiczem na czele, ową większość narodową wyborców, a w pierwszym rzędzie obu posłów w środku, dalej zaś osobistości wybitne i zasłużone w akcyi wyborczej, jak prezes komisyj wybor. mec. St. Kijeński, ks. Gralewski, prezes Tow. kred. Aleks. Makowiecki, St. Libicki, Adolf Święcicki prez. Kasy lit., Dr. Bolesław Jakimiak, adwokaci Siemiradzki i Dziewulski, ks. Gąsiorowski i w. i.

B-t.

Polski teatr w Wilnie.

Czterdzieści dwa lata minęły od czasu, kiedy po raz ostatni na scenie wileńskiej rozległ się dźwięk polskiej mowy. Okres to długi i w dziejach Polaków, Wilno zamieszkujących, bolesny. Kto wie, jakie znaczenie ma w życiu scena narodowa, jak działa na ludzi żywe słowo, obleczone w materyalne kształty i moc, ten zdoła sobie wyobrazić, z jaką tęsknotą oczekiwano w Wilnie otwarcia teatru polskiego, nawskroś polskiego.
Nadszedł nareszcie czas, kiedy pod berłem rosyjskiem na ziemiach wszystkich powiał wiatr swobody. Zakrzątnięto się więc zaraz około utworzenia polskiego teatru. Panna Nuna Młodziejowska, obywatelka z Wołynia, właścicielka klucza Ługińskiego, sama artystka dramatyczna niepośledniej miary, otrzymała koncesyę na utworzenie w Wilnie teatru pod nazwą „Polski teatr miejski w Wilnie“. P. Młodziejowska zrzekła się nawet subwencyi rządowej i postanowiła iść o własnych siłach, co musi jej chyba zjednać tem większe poparcie ogółu.
Dyrektorką polskiego teatru w Wilnie będzie zatem p. Nuna Młodziejowska, której portret dziś zamieszczamy. Kierownictwo i reżyseryę objął znakomity artysta teatru krakowskiego p. Józef Popławski, którego fotografię znajdą Czytelnicy również obok. P. Młodziejowska przybyła do Krakowa dla zaangażowania personalu artystycznego, w skład którego wejdą — o ile dziś wiadomo — p. Gabryela Morska-Popławska, dalej dotychczasowi artyści teatru poznańskiego: Bol. Szczurkiewicz, Dobrzański z żoną, Podgórska, Brydziński, Ryll, Dybizbański, Szymańska. Toczą się również rokowania z p. Mielewskim, oraz z młodymi, ale pełnymi nadziei artystami teatru krakowskiego: Węgrzynem, Osterwą i Strycharskim.
Sezon teatralny rozpocznie p. Młodziejowska dnia 14 września br. w Mińsku i zabawi tam przez miesiąc. W październiku przenosi się teatr do Wilna, gdzie będzie dawał co tydzień pięć przedstawień, z tych trzy w teatrze miejskim, w którym się odbywają przedstawienia teatru rosyjskiego, a dwa w sali miejskiej. Repertuar będzie w zupełności taki sam, jak repertuar teatrów w Krakowie i Lwowie.
Powstanie tego teatru witamy z radością i życzymy mu jak najlepszego rozwoju.

„Sokolice“ Syreniego grodu.

Z pierwszym podmuchem praw i wolności konstytucyjnej zbudził się do lotu drzemiący po Towarzystwach sportowych w Warszawie „Sokół“ polski. Już się przeciągnął, już rozpinał skrzydła ustaw normalnych, już porządkował swe gniazda, już ustalał ćwiczenia, komendę, hasła, już zaczął się lenić ze starych, szarych, w nowe piórka barw narodowych, już zrzeszał zastępy druhów ćwiczących, i druhen Sokolic, poddając je pod rozkazy „kierowników“; aż oto ponownie ogłoszony i do dziś trwający stan wojenny sprawił, iż cała ta praca została wstrzymana. Wstrzymana z formy, ale nie z ducha, ani z swej istoty głównej tj. z ćwiczeń gimnastycznych. Tych już wstrzymać nie sposób. To też przy wszystkich Towarzystwach sportowych jak „wioślarskiem“, „kolarskiem“ (cyklistów) „łyżwiarskiem“ nie brak już „ćwiczących“ których niedługo połączą wspólne znamiona ze-



Polski teatr w Wilnie: Obywatelka z Wołynia, Nuna Młodziejowska, która zakłada stały polski teatr miejski w Wilnie.

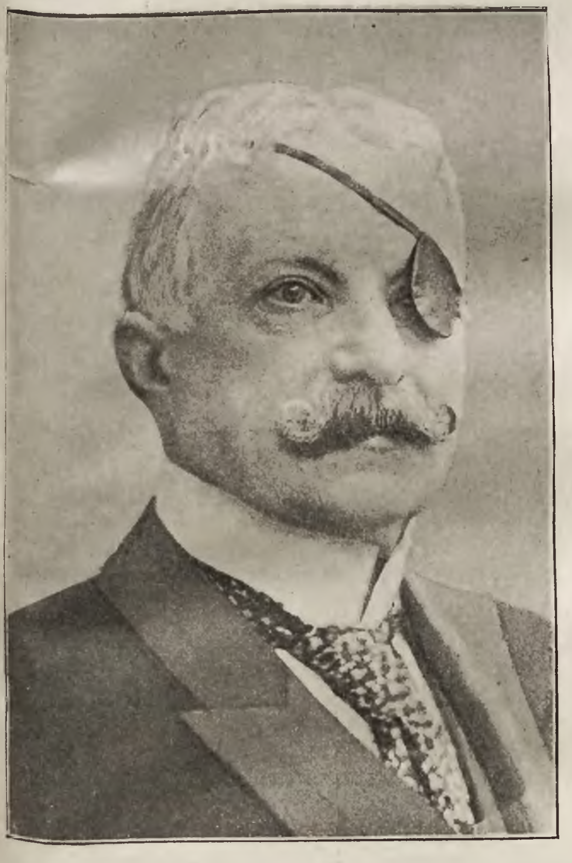


Umyślne zdjęcie dla „Nowości Illustr.“; fot. Nemo w Warszawie.
Sokolice Syreniego grodu: Grupa ćwiczących druhen-sokolic w Towarzystwie wioślarskiem w Warszawie.

wnętrzne i ustrój wewnętrzny, tak jak łączy ich już wspólny organ gimnastyczny pt. „Sokół“.

A dorobkiem godnym uznania to oddziały a raczej grupy „ćwiczących“ druhen-sokolic w rodzaju tej przy Tow. wioślarskiem, którą tu zamieszczamy w naszej illustracyi podług zdjęcia fot. „Nemo“.

Aż miło popatrzeć na tę dzielną grupę 27-u druhen-sokolic w malowniczych estetycznych ich strojach ćwiczebnych, wolnych, swobodnych, dozwalających na każdy ruch, na każde ćwiczenie na przyrządach.

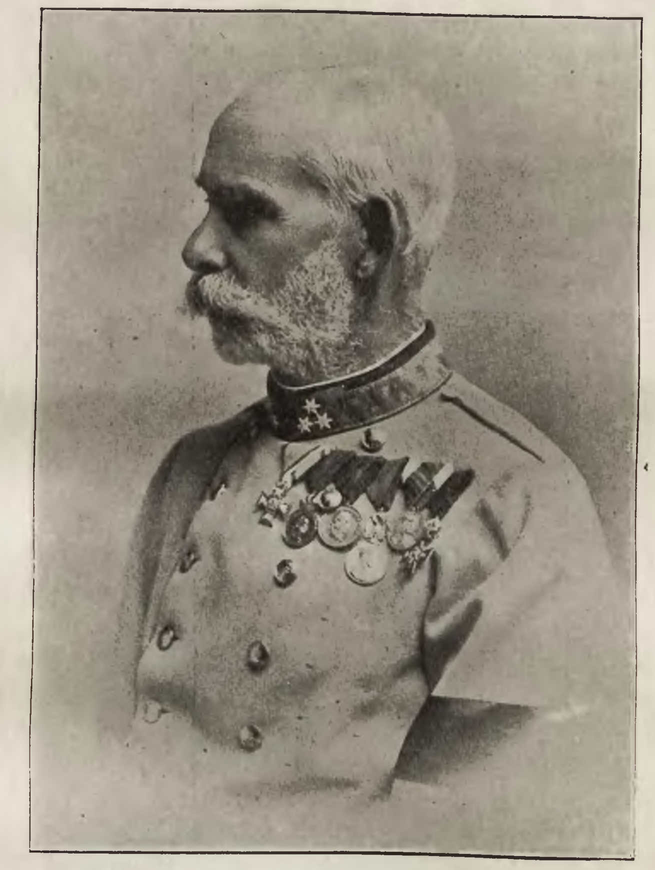


Zmiana gabinetu w Austryi: Baron Gautsch, który świeżo ustąpił ze stanowiska prezydenta ministrów austryackich, a powołany został na urząd prezydenta najwyższej Izby obrachunkowej.

Ćwiczeniami kieruje p. Nebel, rutynowany nauczyciel gimnastyki przy Tow. wioślarskiem, który niema słów uznania i pochwały dla sprawności, szyku, gracyi i zwinności swych uczenic. *B-t.*

Zmiana gabinetu w Austryi.

Reforma wyborcza, wniesiona w parlamencie przez prezydenta ministrów Gautscha, napotkała w pewnych klubach parlamentarnych na niespodziewany opór.



Arcyksiążę Rainer, który po 34 latach złożył teraz naczelne dowództwo obrony krajowej w Austryi.

Premier ministrów, wnosząc reformę z ramienia cesarza prawie, z góry był przekonany, że zyska w parlamencie potrzebną do uchwalenia jej większość, choćby nawet bez jakiegoś klubu. Chodziło głównie o klub w parlamencie najsilniejszy, o Koło polskie, które odrazu zajęło wobec reformy niedwuznaczne, zupełnie wrogie stanowisko. Gautsch zlekceważył je prawie, obszedł jego przywódców i wniósł swój projekt. Tymczasem pokazało się, że bez Koła polskiego reforma wyborcza kwalifikowanej większości w Izbie nie otrzyma. Koło skorzystało z tego, aby powiedzieć, że z takim rządem paktować nie będzie. Zaczęła się więc walka między Kołem a baronem Gautschem, walka, prowadzona bardzo zręcznie przez przywódców Koła, bo rezultatem jej było obalenie Gautscha, który dnia 1 maja podał się do dymisyi i otrzymał ją.

Misyę objęcia steru nawy państwowej po baronie Gautschu otrzymał dotychczasowy namiestnik tryesteński, książę Konrad Hohenlohe-Schillingsfürst, którego portret obok zamieszczamy. Osobistość to w szerszych kołach publicznych mało znana, w życiu parlamentarnem prawie „homo novus“. W szeregu prezydentów ministerstw austryackich będzie ks. Hohenlohe jednym z najmłodszych, liczy bowiem dopiero 43 rok życia. Urodził się on w roku 1863 jako syn ochmistrza dworu księcia Konstantego Hohenlohego. Ukończywszy studya w Wiedniu, wstąpił w roku 1889 do służby państwowej jako praktykant konceptowy przy sądzie w Salzburgu, skąd przeszedł do namiestnictwa praskiego. W roku 1894, jako kierownik starostwa w Cieplicach zdobył sobie uznanie władz przełożonych skutecznem pośrednictwem między pracodawcami a robotnikami w wielkim strejku, jaki tam wówczas wybuchł. W roku 1889 powołany został do ministerstwa spraw wewnętrznych, gdzie stanął na czele departamentu spraw przemysłowych. W roku następnym kierował departamentem spraw styryjskich i tyrolskich. W dniu 4 kwietnia 1903 objął prezydyum kraju na Bukowinie, zaś we wrześniu 1904 został namiestnikiem tryesteńskim i na urzędzie tym pozostawał do chwili, w której mu cesarz powierzył prezydyum gabinetu. Na obu tych wybitnych stanowiskach okazał dużo zręczności administracyjnej. Uchodzi za człowieka o zasadach liberalnych, tak, że w kołach arystokratycznych nazywają go nawet „czerwonym księciem“. Czy jemu uda się doprowadzić do kompromisu z Kołem polskiem i przeprowadzić wewnątrz przez bar. Gautscha reformę — dzisiaj jeszcze niewiadomo. Faktem jest jeno, że Hohenlohe objął rządy w trudnej sytuacyi i będzie sobie dopiero musiał wywalczyć pozycyę i uzyskać zaufanie parlamentarnych klubów.



Zmiana gabinetu w Austryi: Książę Konrad Hohenlohe-Schillingsfürst, który jako następca br. Gautscha został prezydentem ministrów austryackich.



Nowa bomba w Warszawie: Część ogromnego gmachu Simonsa z biurami kolei Nadwiślańskich na końcu ul. Bielańskiej, z którego większość szyb wypadła skutkiem wybuchu bomby w czasie zamachu na naczelnika ruchu kolei Nadwiślańskich Proskuriakowa na ulicy przed gmachem.

Nowa bomba w Warszawie.

Była godzina piąta po południu. Na rogu Bielańskiej i Długiej, przed pasażem Simonsa, mieszczącym zarząd kolei Nadwiślańskich, w chwili, gdy wyjeżdżał dorożką parokonną z przed biura naczelnik ruchu Proskurjakow, w towarzystwie naczelnika wydziału Gutnera i woźnego Morozowa, nieznany człowiek podbiegł i rzucił bombę w dorożkę.

Bomba rozbiła się o prawe skrzydło dorożki, zraniła w twarz naczelnika ruchu Proskurjakowa, który jednak zdążył wyskoczyć i wybiegł okaleczony. Bomba zaś pękając, zabiła na miejscu Morozowa; naczelnik Gutner z oberwaną ręką i nogą, wieczór życie zakończył. Zwłoki Morozowa wypadły z dorożki na skręcie z Nalewek na Bielańską. Dorożka rozbita, a konie okaleczone zatrzy-



Gen. konsul austro-węg. w Warszawie St. v Ugron, pobity przez kozaków 1 maja na ulicach Warszawy.

mano w ul. Długiej, poczem je dobito. Dorożkarz ciężko ranny. Przejeżdżająca podówczas jednokonna dorożka została rozbita, a koń ciężko pokaleczony został dobity. Proskurjakowa opatrywano w biurze zarządu środkami, sprowadzonemi z pobliskiej apteki Jeziorowskiego. Kilka osób zostało ciężko pokaleczonych i kontuzyowanych. Na miejsce wypadku przybyły dwie karetki Pogotowia. Ulicę Bielańską od rogu Tłomackiego, część Nalewek i Długiej, w pobliżu Pasażu Simonsa otoczono wojskiem. Komunikacyę pieszą i kołową zamknięto. Tramwaje skierowano w inne ulice.

W godzinę później dwóch oficerów odwiozło w dorożce do domu, w otoczeniu kozaków, Proskurjakowa ciężko rannego. W drugiej dorożce jechał żandarm i ajent ochrony.

Według innych wersyj naprzód wsiadł do dorożki Proskurjakow za nim Gutner i Morozow. W chwili, kiedy dorożka ruszała z miejsca, ktoś rzucił w środek niej bombę. Proskurjakow wyskoczył z lewej strony, a Gutnera i Morozowa siła wybuchu wyrzuciła na bruk. Na Morozowie zapaliła się odzież. Wybuch objawił się olbrzymim dymem. Przestraszone konie dwóch artylerzystów poniosły w ul. Bielańską. Siła wybuchu skierowała się w stronę ul. Przejazd. W ten sposób cały narożnik pasażu Simonsa (widoczny na naszej fotografii) został zniszczony od dołu do góry, wszystkie szyby wybite. To samo w pięciu domach przy ul. Bielańskiej. W chwili, kiedy rzucono bombę do dorożki parokonnej Proskurjakowa, przejeżdżał ulicą z przeciwnej strony urzędnik magistratu, p. Bagniewski z żoną i dzieckiem. Odłamki bomby poraniły p. Bagniewskiego w obie nogi. Rany są ciężkie, ale życiu p. B. niebezpieczeństwo nie grozi. Rany p. Bagniewskiej i dziecka są lekkie. Pogotowie stwierdziło, że rannych jest ogółem 10 osób.

hałasu, zwróciły też nań uwagę P. P. S.; uczestniczył w zrabowaniu rządowej kasy w Mazowiecku na 800.000 rubli, dalej w zamachu na kasyera kolei terespolskiej Sołowiewa, któremu zabrano 12 000 rubli itd. Za te czyny otrzymał od komitetu rewolucyjnego 1.500 rubli na wyjazd do Ameryki, tembardziej, że za mowę podburzającą został skazany przez władzę na karę 3 000 rubli i miał być przez policyę rosyjską aresztowany.

Opowiadania te wyglądały bardzo nieprawdopodobnie, przeprowadzono więc przy nim rewizyę, w której znaleziono gotówką 220 koron i 470 dolarów amerykańskich oraz kartę okrętową do Nowego Jorku. W dalszej indagacyi oświadczył rzekomy oficer, że otrzymał także spadek rodzinny w wysokości tysiąc rubli i zamierza obecnie jechać do Ameryki i wstąpić do „wojska polskiego pod generałem Kiełbasą“!



Niebezpieczny „dziennikarz“.

Przed kilku dniami zajechał do hotelu Polskiego przy ul. Floryańskiej młody, obcy mężczyzna, który podał się za Eugeniusza Wiktora Gadomskiego, korespondenta dzienników warszawskich. Po kilku dniach przeprowadził się do hotelu Krakowskiego, gdzie zameldował się pod tem samem nazwiskiem, tylko w charakterze oficera rosyjskiej marynarki. W obu hotelach zwrócił na siebie uwagę hulaszczem życiem, tak, że policya zawezwała go do wylegitymowania się.

W policyi podał, że nazywa się Głowacki, że jako oficer brał udział w kampanii rosyjsko-japońskiej i uczestniczył we wszystkich bitwach, a pod Mukdenem został zraniony ciężko w rękę i nogę. Podał dalej, że ranny wrócił do Warszawy i został współpracownikiem tamtejszych dzienników. Artykuły jego miały narobić w Warszawie wiele

— Jakże pan wstąpi do wojska — pyta się go komisarz policyi — kiedy pan ułomny jesteś w rękę i nogę?

— W Ameryce to nic nie szkodzi — odpowiada rzekomy Głowacki bez zająknienia.

Gdy jednak oszusta wzięto w krzyżowy ogień pytań, wydobyto zeń prawdę, że oficer-dziennikarz nazywa się w rzeczywistości Eugeniusz Józef Monikowski, i był kancelistą skarbowym w Łomży. Mając sobie przydzielony zarząd masy nieruchomej, sfingował fałszywy kwit strony, na który podjął 2.550 rubli i uciekł. Monikowski, którego portret zamieszczamy obok, ma być żonaty i ojcem 8 letniej córeczki. Zatrzymano go w więzieniu w Krakowie.

Rozwiązanie zagadek z Nru 17.

Zagadka.

Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Wyspiański, Kasprowicz, Staff, Rydel, Pol, Lenartowicz, Żuławski.

Zagadka trójkątowa.

L, ił, Bar, Edyp, Rugia, Upsala, Moore, veto, Ems, to, o.

Liberum veto.

Kryptogram.

Sachs, Tomsk, ameba, fluor, f-Arab.

Staff — Skarb.

Arytmogryf.

Feliks Faure, kontrabas, żegawka, Hanka, Eck, Haiti, barszcz, Joryzeusz, Jasieński, Parkosz, Żiżka, Ema, Aluta, wątroba, zarękawek, przypowieść.

Franciszek Żmurko.

Logogryf.

Ufa, Rydel, Argonanci, Nakło, indyk-drop, Antyle, Eufrat, ulemowie, Trewir, Eskulap, Rodos, Pagamisi, en bloc, Metternich, eo ipso, Lear, Pireneje, ozokeryt, Monterosa, Emil, nektarniki, Eleonora, Ezop, rusznikarstwo, Adynopol, Teatyni, Offenbach, Kujawy, liceum, Ispohan, Orzechowski, Kalisada.

Urania, Euterpe, Melpomene, Erato, Klio, Kaliope, Terpsichore, Talia, Polihymnia.

Kryptogryf.

J, pan, hania, podkowa, Krasiński, Jan Kiliński, Karpiński, Francya, Wisła, oka, i.

Jan Kiliński.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: B. Ramułtowa Jeżów, J. Robak Kraków, Al. Bocsoń Bóbrka, K. Fuchs Peczeniżyn, T. Domain Sanok, H. Karatnicka Nadwórna, J. T. Flura Uhnów, J. Sulkowski Kraków, I. Pompianka Kraków, J. Aleksandrowicz Kraków, K. Chodkiewicz Zbydniów, K. Bobek Kraków, J. Kulczyńska Kraków, Z. Szymczakowska Piaski, H. Mokrzycka Turbia, J. Wodziczkówna Germakówka, J. Weimerowie Nowy Sącz, Jan Lago Warszawa, M. Bossowska Bistoszowa, A. Surowiecki Kraków, E. Bogdalska Koropuż, St. Szwabowicz Żurawno, Fr. Niepokój Krosno, Tow. „Zgoda“ Krosno, A. St, Bassara Niwiska, K. Jasiński Kraków. Fr. Kośmider Nowy Sącz, B. Warowitz, Nowy Sącz, J. Lagówna Warszawa, H. Plechawska Stanisławów.

Nagrodę za dobre rozwiązanie otrzymał przez losowanie p **Aleksander Bocsoń w Bóbrce.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył K. Chodkiewicz, Zbydniów.

Pierwsza ma przyimka miano.
Zaś zaimkiem *druga* zgłoska,
Trzecia literą składaną —
Więc odgadnąć mała troska!
Całość miła i ponętna —
Nie zna co to gwary świata.
Więc też nieraz myśl Twa smętna,
W strony takie — hen — ulata.

Logogryf.

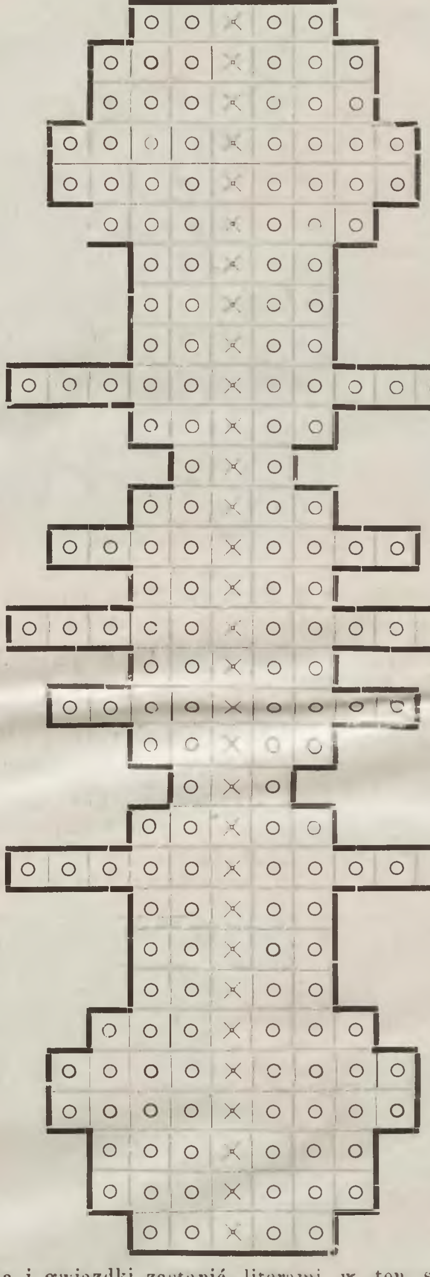
Ułożył Józef Robak w Krakowie.

Z następujących zgłosek: nek, dzio, ro, zu, top, e, ho, al, pe, wiec, dło, cit, be, ja, zo, te, ter, przód, scri, dżas, mo, wal, il, tynf, te, york, stya, ber, he, o, dra, goll, au, nie, nar, in, com, cer, men, re, ke, schir, rych, ye, ro, lach, ka, kur, wo, dyk, ka, go, lal, na, po, petl, karp, eu, ob, gu, ło, go, tyr, jow, cza, pan, ra, e, ski, in, dy, pi, dy, dagh, do, du, zbój wiec, ob, na, san, dyan, stek, go, sy, pią, tja — ułożyć 33 wyrazy w ten sposób, aby litery początkowe, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko światowego atlety, tudzież nazwiska dwu słynnych atletów, zaś końcowe, czytane w tym samym kierunku nazwiska sześciu sławnych zapaśników-siłaczy.

Znaczenie wyrazów: 1. Powieść Kosiakiewicza. 2. Imię męskie zdrobniałe. 3. Minerał (odmiana kwarcu). 4. Miasto w Szwajcaryi. 5. Wyspa japońska i powieść Sienkiewicza. 6. Miasteczko nad Bugiem pamiętne rokiem 1413. 7. Bóg Mahometan. 8. Szczyt Kordyler amerykańskich. 9. Ryba. 10. Jedna z dziewięciu muz 11. Dziennik galicyjski. 12. Dramaturg francuski. 13. Trzygłowy pies, strzegący wejścia do Hadesu. 14. Kraj położony na zachodnim wybrzeżu Arabii. 15. Znakomity poeta angielski. 16. Jezioro europejskie. 17. Słynny żeglarz angielski, który pierwszy cały świat objechał. 18. Dawna srebrna moneta w Polsce i rzeka rosyjska. 19. Uczony francuski, twórca pozywityzmu. 20. Rodzaj świni. 21. Współczesny czeski poeta i historyk. 22. Zakon. 23. Zwierzę morskie z rzędu wielorybów. 24. Dwa ptaki. 25. Filozof grecki. 26. Bohater z powieści Sienkiewicza. 27. Roślina motylkowa, rosnąca w ciepłych krajach. 28. Szczyt gór Jaila na Krymie. 29. Inaczej morderca. 30. Wedle baśni starożytnych Greków, pierwsza na ziemi kobieta, stworzona przez bogów. 31. Minerał, znajdujący się w pobliżu wulkanów. 32. Część odnóża górnego. 33. Miasto w rzeczypospolitej Chile.

ZAGADKA.

Ułożył E. Illukiewicz, Sambor.



Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, utworzyły określenie smutnego wypadku, jaki się wydarzył ostatnimi czasy we Francyi.

Znaczenie wyrazów: 1. Polski złoty pieniądz. 2. Inaczej łamigłówka. 3. Miejsce spoczynku umarłych. 4. Starożytne miasto, założone przez królowę Dydo. 5. Imię męskie. 6. Przyrząd do męczarń. 7. Część składowa broni palnej. 8. Ptak. 9. Część składowa izby mieszkalnej. 10. Miasto w północnej Afryce. 11. Inaczej polskie Towarzystwo gimnastyczne. 12. Rzeka w Rosyi. 13 Szlachetny kamień. 14. Książka prawidł, niezbędna przy nauce języków. 15. Głośna powieść Prusa. 16. Góra, w której łamią kamienie. 17. Mieszkaniec nieba. 18. Publiczny zakład naukowy. 19. Owoc, zwany rajską. 20. Miesiąc. 21. Miasto na Litwie. 22. Choroba umysłowa 23. Owoc strączkowy. 24. Znak pisarski. 25. Śliczne zwierze leśne. 26. Dworzanin, towarzyszący zwykle monarchom na koniu. 27. Naczynie stołowe, służące do przechowywania niezbędnej przyprawy. 28. Inaczej wykład. 29 Drogi kamień. 30. Słynny malarz polski ubiegłego stulecia. 31 Drzewo szpilkowe

Dla ułatwienia podajemy następujące zgłoski: a, a, a, a, ale, an, ba, bas, cho, cmę, cy, don, dry, du. fit, gad, gi, gier, gim, gra, grech, ka, ka, ka, ka, ka. kar, kat, ko, kół, kow, ksan, ku, lal, lan, li, lek, łom, ma, ma, mał, me, mek, mie, na, na, na, na, na, nan, nicz, nio, nioł, no, pau, paz, pre, ra, ragd, rek, sar, se, sma, so, sol, sos, su, ta, tarz, tej, to, tor, tu, ty, ty, wro, ze, za, zyum.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redekcya jako nagrodę 2 funty karmelków z cukierni lwowskiej Jana Michalika w Krakowie.